

Andrzej Franaszek „Inne życie”. O trudnej przyjaźni Czesława Miłosza i Jarosława Iwaszkiewicza

Dla Agnieszki i Roberta Papieskich

*Znalazłem w starych papierach wiersz Miłosza Sicilia sive Insula Mirandae [...].
Cały dzień czulem się omyty tym wierszem, tak jakbym z samego rana zażył kąpieli
w wannie zarzuconej fiołkami. Cóż to za poeta wspaniały, którego czar zdefiniować
niepodobna, jeden z największych poetów naszego z maltretowanego świata.
Jarosław Iwaszkiewicz¹*

*Nie zdradziłem poezji Jarosława.
Czesław Miłosz²*

Ostatniego dnia listopada 1930 roku Czesław Miłosz wysłał z Wilna do starszego od siebie o siedemnaście lat Jarosława Iwaszkiewicza pełen emocji list. Zaczynał od konwencjonalnej formułki „Szanowny Panie”, by w następnej linii rzucić się na głęboką wodę wyznań:

Uwielbiam Pana. Każdy wiersz Pana jest dla mnie objawieniem. Dlatego zwracam się do Pana z prośbą o ocenę moich utworów. [...] Niech Pan powie, Pan jest dla mnie najdroższym przyjacielem i mistrzem. Zdanie Pana będę uważał za rozstrzygające o tym, czy mam nadal traktować poważnie swoją pracę literacką. Jestem studentem wydziału prawa (na II roku), mam lat 19, pochodzę z Litwy – tyle informacji o sobie.

Oskar Miłosz, którego misterium *Miguel Mañara* jest w przekładzie Br. Ostrowskiej, jest moim krewnym. Pan rozumie, że to podsycza hilaryczne marzenia we mnie.

Rzadko przychodzi stan ekstatyczny. Przeważnie piszę na zimno i to mnie bardzo męczy. Nie mam oddechu i pozostaje mi tylko korzyć się przed napięciem *Dionizyj*.

Z wierszy, które posyłam, *Kompozycja* i *Podróż* będą drukowane wkrótce w „Alma Mater Vilnensis”. Ale to wszystko głupstwo i póki Pan nie wyda swojej oceny, nic nie wiem o swoich twórcach³.

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, oprac. Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk, Czytelnik, Warszawa 2010, s. 185 i następn.

² Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, Znak, Kraków 2001, s. 209. Wszystkie cytaty z *Roku myśliwego* według tego wydania.

³ List Czesława Miłosza do Jarosława Iwaszkiewicza, Wilno, 30 listopada 1930 roku [w:] Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, *Portret podwójny*, oprac. Barbara Toruńczyk, Robert Papieski, Zeszyty Literackie, Warszawa 2011, s. 7. Następn. cytaty z listów według tego wydania; dalej podaję tylko miejsce i datę listu.

Przed podpisem dodał jeszcze: „zawsze Pana kochający” ...

Sporo można wyczytać z tych parunastu linijek. Stan duszy rodzącego się, niepewnego siebie, zagubionego, a zarazem oczywiście trawionego ambicją poety. Jego zwątpienia i nadzieje, a może też zaczątek strategii, na poły świadome szukanie sposobu wyrwania się z prowincjonalnej anonimowości. Osamotnienie, każące szukać mistrza, powiernika, przyjaciela, z którym połączyłoby go intymne pokrewieństwo, wspólnota artystycznego daru. Desperację, przełamującą nieśmiałość i zmuszającą do odsłonięcia się przed człowiekiem, który o nadawcy listu nigdy dotychczas nie słyszał. Potrzebę zrozumienia, kim jest, zbudowania własnej genealogii, choćby chwilowego, ale jednak nobilitowania się poprzez napomknienie o zaszczytnych rodzinnych koneksjach. Dobrą orientację w twórczości adresata, pozwalającą odwołać się i do zbioru *Dionizje*, i do powieści *Hilary, syn buchaltera*. Zresztą także późniejsze listy Miłosza pełne będą aluzji do twórczości autora *Brzeziny*, po pół wieku zaś Miłosz wspomni jeszcze w *Roku myśliwego*: „tomiki Iwaszkiewicza, ich szarawy, ale w dobrym gatunku papier, ich chropowate okładki, były dla mnie nie książkami, ale przedmiotami kultu”.

Dodajmy jeszcze, że *Kompozycja* i *Podróż*, wiersze, które rzeczywiście stały się Miłoszowym debiutem, pełne metafizycznego zwątpienia zawartego choćby w słowach „pustka nad nami króluje”¹, mogą być, wraz z anonsującym je listem do Iwaszkiewicza, początkiem opowieści o duchowej wędrówce Miłosza, swój kres znajdującej ostatecznie w próbach utwierdzenia wiary.

Cień w dłoni

Po raz pierwszy tę stronę pełną wyznań i zaklęć oraz następujące po niej kolejne listy Miłosza zobaczyłem przed bodaj piętnastu laty w warszawskiej Bibliotece Instytutu Badań Literackich, obracając skrzypiące rolki i wpatrując się w ekran czytnika mikrofilmów. Odcyfrowywałem słowa z wypiekami na policzkach, podobnie zresztą jak wtedy, gdy dane mi było poznać listy wymieniane przez Miłosza i Herberta. Korespondencja z autorem *Pana Cogito* odsłaniała nieznane wtedy oblicze relacji łączącej dwóch poetów, historię przyjaźni, w połowie lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia prawie całkowicie przesłoniętą przez koszmar ataków Herberta, przez paszkwil o tytule *Chodasiewicz*². Korespondencja z Iwaszkiewiczem pokazywała Miłosza rozpoczynającego świadome życie intelektualne i artystyczne, mało jeszcze przypominającego autora tysięcy zapisanych stronic, jednego z najwspanialszych polskich poetów, noblistę. Tego Miłosza, którego znałem z Krakowa przełomu stuleci: człowieka mocnego jak dąb, swe cierpienia – później miałem to zrozumieć – skrywającego, już bardzo rzadko przypuszczającego innych do komitywy i raczej nie wyznającego – jak jego młodsze o długie dekady wcielenie – że „oschłość i sztuczność to choroba ludzi zanadto czułych” (list z września 1935 roku).

¹ Czesław Miłosz, *Podróż* [w:] tenże, *Wiersze wszystkie*, Znak, Kraków 2015, s. 30. Wszystkie wiersze Czesława Miłosza według tego wydania; dalej podaję tytuł wiersza, WW i numer strony.

² O relacji wiążącej obu poetów pisałem w książce *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011.

Namawiałem wtedy zaprzyjaźnionego wydawcę, by opublikował listy z archiwum Iwaszkiewicza w postaci książki, tom taki rzeczywiście się ukazał, choć w nieco innym czasie i w innej oficynie¹. Dziś zaś wracam do tamtej lektury, sam też już nieco inny, by lepiej zrozumieć fascynujący krajobraz powiązań, które łączyły największych według mnie polskich pisarzy drugiej połowy XX wieku: Miłosza, Iwaszkiewicza, Herberta, Różewicza. Sploty, w których intelektualne batalie spotykają się z przekraczającą konflikty przyjaźnią, poczuciem braterstwa, ale też z nieufnością, zawiścią, ze zranioną miłością własną. Frapują mnie przemiany losów, choćby obserwowanie, jak dionizyjski i artystowski autor *Oktostrychów* przemienia się w oficjalnego reprezentanta polskiej kultury, a po części także komunistycznego państwa, co Miłosz przedstawiał w *Traktacie poetyckim*: „Z barwnych kamieni składał gospodarstwo / Publicznym sprawom obcy Iwaszkiewicz, / Mówca późniejszy, tudzież obywatel / Pod naciskami twardej konieczności” (WW 414 i następne). Przyglądanie się temu pejzażowi przypomina, że z innymi ludźmi łączy nas coś innego niż wspólnota – zmieniających się przecież – poglądów, raczej trudniejsze do racjonalnej oceny pokrewieństwo charakterów, i że więź ta potrafi być zaskakująco mocna. Jak z dystansu lat autor *Brzeziny* wspominał pierwszy list i pierwsze spotkanie z Miłoszem na Stawisku: „tak się zaczęła przyjaźń, ta korespondencja i to obopólne rozczarowanie, tak się zaczął ten bolesny stosunek, który do dziś dnia cierniem tkwi jeżeli nie w sercu moim, to w dłoni”².

„J’adore”

Miłosz z kolei, pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku poświęcając Iwaszkiewiczowi strony *Roku myśliwego*, sięgał do chwil wcześniejszych: „wieczór poetycki Tuwima w Wilnie ściągnął tłum, wieczór poetycki Iwaszkiewicza mnie zawstydził. Byłem wtedy jeszcze uczniem szkoły średniej. Prócz mnie (nie ośmieliłbym się do niego zbliżyć) w dużej sali Teatru na Pohulance siedziało może pięć czy sześć osób. Czytał jakieś swoje opowiadanie, które potwierdzało dość powszechną o nim opinię, że to taki «omdlewający esteta»”.

Nie ośmielił się podejść, ale z czasem wysłał list, zapewne wtedy, gdy zapisywane utwory zaczęły domagać się od niego, by rozpoznał własne powołanie. Fakt, że podziwiany adresat odpowiedział, i to natychmiast³, wprowadził go w stan, który powinniśmy chyba nazwać gorączką. W każdym razie kolejne listy przynoszą wyznania i deklaracje: „gdybym mógł, to napisałbym o Panu książkę i zatytułowałbym ją *J’adore*” (Wilno, 11 grudnia 1930), „Uwielbiam”, czy też: „sprawa korespondencji z Panem jest dla mnie najważniejszym sensem życia obecnie” (Suwałki, 20 grudnia 1930). Odpowiedzi na to nie znamy, listy Iwaszkiewicza zaginęły, podobnie jak jego dzienniki z lat trzydziestych, możemy wsłuchiwać się

¹ Cytowany wyżej *Portret podwójny* w znakomitym opracowaniu Barbary Toruńczyk i Roberta Papińskiego.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Portrety na marginesach*, Więź, Warszawa 2004, s. 94.

³ List Miłosza jest datowany 30 listopada. Zachowała się na nim adnotacja Iwaszkiewicza: „odpowiedziałem 3 grudnia”.

tylko w monolog młodego Miłosza, przerwany pojedynczą uratowaną kartką pocztową, wysłaną do Wilna z Paryża w marcu 1931 roku. Dawał na niej znać autor *Dionizji*: „Złotko! [...] Bardzo bym chciał zobaczyć Ciebie – co porabiasz i co piszesz? Tęskno mi trochę do Ciebie i do pogadania z Tobą. Ściskam Cię bardzo mocno. Twój Jiwa”. Pisał zatem do młodziutkiego studenta ciepło, choć w zdecydowanie spokojniejszej tonacji, do czego skłaniać mogła i dostępna cudzym oczom forma – jak dawniej mówiono – „odkrytki” i przede wszystkim odmieniona sytuacja życiowa. Na początku lat trzydziestych minionego wieku Iwaszkiewicz jest bowiem mężczyzną w sile wieku, mężem, ojcem dwóch córek, właścicielem dworu pod Warszawą, urzędnikiem państwowym, niewątpliwie nie najmocniej świecącą gwiazdą pośród skamandrytów, ale przecież uznanym pisarzem o sporym dorobku, a wreszcie człowiekiem o nieporównanie większych doświadczeniach miłosnych. Może także mężczyzną cokolwiek przyzwyczajonym do wyrazów hołdu, do siły atrakcji swej osobowości, w końcu trzy lata wcześniej otwierał list od innego dwudziestolatka, jeśli wierzyć fotografiom – co najmniej tak pięknego, jak młody Miłosz malarza Józefa Rajnfelda, który wyznawał z równą jak Miłosz bezpośredniością: „czytałem Pańskie książki i widuję Pana czasem na koncertach. Uwielbiam Pana”¹.

„Jak najwięcej bebeczów”

Zatem w korespondencji z Iwaszkiewiczem z lat trzydziestych zeszłego wieku mówi do nas tylko Miłosz, ponieważ to jego głos się zachował, ale także dlatego, że to przede wszystkim on chciał mówić. Zwłaszcza z początku mówi naprawdę dużo i głównie o sobie. 11 grudnia 1930 roku deklaruje: „chciałbym wybebeczyć się «całkowicie» – ale tymczasem to mi się nie udało, jeżeli Pan pozwoli, to napiszę jeszcze do Pana”, tydzień później dodaje: „chcę pisać o sobie. [...] Jak najwięcej bebeczów!”. Jest odcień ironii losu w tym, że składa te deklaracje człowiek, który w przyszłości będzie walczyć z tak zwaną bebeczowatością literatury, starannie też będzie unikać zwierzeń i nawet się zastanawiać: „Dlaczego w moich wierszach / Tak mało autobiografii? Skąd ten pomysł, / Żeby co własne ukrywać jak chorobę?” (*Dawno i daleko*, WW 1037). Teraz jednak wykorzystuje to, że bodaj po raz pierwszy w życiu znalazł odpowiadającego mu intelektualnie partnera, że poprzez rozmowę z nim może dokonywać autoanalizy, aż kipi więc od myśli i uczuć, szuka dla siebie formuły, oceniając przy tym: „zwykle traktuję siebie albo zbyt pochlebnie, albo mieszam z błotem” (11 grudnia). Rekonstruuje rodzinną genealogię, w której może sięgnąć XVI wieku i wspomnieć o późniejszym

¹ List Józefa Rajnfelda do Jarosława Iwaszkiewicza, Warszawa, 1928 [w:] *Portret młodego artysty. Listy Józefa Rajnfelda do Jarosława Iwaszkiewicza 1928–1938. Z notatkami adresata*, oprac. Paweł Hertz, Marek Zagańczyk, Wydawnictwo Tenten, Warszawa 1997, s. 15. Do tej konstelacji zachwyków możemy dodać jeszcze późniejszy list – nieporównanie bardziej zdyscyplinowanego – Pawła Hertza: „Szanowny Panie! Wybacz mi Pan, że niepokoję Go tym listem. List ten zawiera parę wierszy i prośbę, by Pan był łaskaw wydać o nich swój sąd. Sądząc, że Pan, jako jeden z najlepszych współczesnych poetów polskich, najlepiej chyba będzie mi mógł powiedzieć, czy warto pisać w dalszym ciągu, pozwalam sobie na przesłanie tego listu” – list Pawła Hertza do Jarosława Iwaszkiewicza, Warszawa, 5 stycznia 1934 roku [w:] Paweł Hertz, Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Korespondencja*, t. 1, 1934–1948, oprac. Agnieszka i Robert Papięscy, Zeszyty Literackie, Warszawa 2015, s. 7.

topnieniu ziemiańskiej fortuny – temat oczywiście nader literacki, doda zatem: „wszystko to bardzo romantyczne i schlebia mojej próżności” (20 grudnia). Mówi o coraz trudniejszych relacjach z rodzicami, dotykając kompleksu, który dekadę później opíše inny poeta, Tadeusz Różewicz, w książce *Matka odchodzi* ukazujący kłęb uczuć, jaki niesie w sobie dziecko przerastające intelektualnie matkę i ojca, odnoszące nieporównanie większe od nich życiowe sukcesy. Raz za razem daje wyraz potrzebie wyrwania się z maleńkiego Wilna, a tym bardziej z Suwałk, w których mieszkali jego rodzice. Marzy o Warszawie, jeszcze bardziej o „włóczędze do Zachodu”, czuje, że się dusi, zapewne na jakąś uwagę Iwaszkiewicza na temat uroków prowincji odpowiada wspomnieniem niekończących się podróży dzieciństwa, dochodząc do wniosku: „to też wywołuje na potem pewne skutki: żądzę ruchu, ruchu, ruchu, no i dlatego nienawidzę tego, co może dla Pana jest egzotyką” (Suwałki, 2 stycznia 1931). Wiek dojrzały łatwiej akceptuje pozostawanie poza tętniącym sercem wydarzeń, czasem nawet mitologizuje oddalenie – jako drogę do skupienia, do duchowego czy artystycznego rozwoju, ambitna młodość natomiast pragnie ekspansji, tego, co dziewiętnastoletni Miłosz nazywał „marzeniem o «locie»”. W wieku dojrzałym poeta z goryczą przypomni sobie ten stan, zapisując w wierszu, że przecież „miało się być czymś w rodzaju archaniola” (*Dużo śpię*, WW 551).

Przede wszystkim usiłuje uzyskać odpowiedź na najprostsze pytanie: „czy mam talent?”, i już wtedy boryka się z demonicznym splotem cech, które w wielkim stopniu budują pisarza: z egoizmem, nakierowaniem na własną twórczość, z postrzeganiem wszystkich doświadczeń jako materiału literackiego. Przy czym u Miłosza – co dla niego tym boleśniesz – cechy te spotykać się będą z ostrą samoświadomością i poczuciem winy. Ledwie parę lat wcześniej nieszczęśliwy kochanek, który za pomocą rosyjskiej ruletki sprawdzał, czy pisane jest mu dalsze życie, teraz znów stara się znaleźć usprawiedliwienie dla swego istnienia: „kwestia «pisania» jest dla mnie bardzo ważna. Chwytam się tego jedyne-go sensu, jak tonący brzytwy. Poza tym nie mogę ułapić rzeczywistości; świat po prostu przecieka mi przez palce” (11 grudnia 1930). Wyrzuca sobie, że nawet w najbardziej bolesnych chwilach, takich jak chwila śmierci babci, towarzyszyło mu „estetyzowanie i sceny ciągle układane” (20 grudnia), jednocześnie opisując: „mam tzw. w dogmatyce «sumienie skrupulatne» i ciągle wyrzucam sobie, że kłamię” (11 grudnia). Rozpoznaje, a przynajmniej wydaje mu się, że tak czyni, podobne cechy w Iwaszkiewiczu, w jego prześwitującej zza strof wierszy gwałtownej zmysłowości, pasji erotycznej pozostającej pod znakiem cierpienia, okrucieństwa i śmierci, pasji żywiącej nadzieję, iż pogoń za bogiem-kochankiem doprowadzi do wyzwalającej transgresji, co autor *Dionizji* zapisuje w finałowych liniach *Podróż po Warszawie*: „Uduszę go i wolno wywiercę mu ślepie. / Co przez lat tyle w każdej migają karecie, / I kości pogruchocę najbielsze na świecie, / I wargi me zeschnięte święta krew pozlepie”¹. Wileński czytelnik tych słów dochodzi do wniosku, że jeśli nie z powodu talentu, to chociaż „dzięki posiadaniu

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Podróż po Warszawie* [w:] tenże, *Wiersze*, t. 1, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 112 i nast. Wiersze Iwaszkiewicza według tego wydania; dalej podaję tytuł wiersza, tom (W1, W2) i numer strony.

takich brzydko-dionizyjskich popędów mogą choć trochę przybliżyć się do Ciebie” (Suwałki, kwiecień 1931). Mnie zaś przychodzi do głowy pytanie, czy – nawet nie do końca świadomie – swego autoportretu nie stylizował tak, by właśnie zbliżyć się do Iwaszkiewicza, a dokładnie: do takiego Iwaszkiewicza, jakiego sobie wyobrażał na podstawie jego poezji...

W bardzo późnych latach swego życia, gdy do wizji ludzkiej egzystencji, jaką można odnaleźć w twórczości Iwaszkiewicza, będzie już Miłosz odnosił się z dużą dozą krytycyzmu, i tak wiersz poświęcony pamięci autora *Oktostychów* opatrzy tytułem *Mistrz mego rzemiosła*. W młodości deklarował wprost: „wiersze poprawiam według Twoich wskazówek” (Wilno, 12 kwietnia 1931), z czasem oceniając, że lektura pierwszych tomów Iwaszkiewicza, odnaleziony tam „ogromny wybuch wszystkich form metrycznych”¹, „szalone i nieoczekiwane załamania się rytmu, dysonansowe tony dzikości i słodczy”², były dlań wyzwoleniem „z poezji tradycyjnie pisanej, poezji skamandrytów czy poezji Staffa”. Powody jego fascynacji były jednak głębsze od docenienia rewolucyjności Iwaszkiewiczowego stylu. Młody Miłosz nie tylko rozczytuje się w wierszach swego, jakbyśmy dziś powiedzieli, idola, ale przede wszystkim poprzez te utwory odczuwa rzeczywistość, od początku zresztą doskonale to rozumiejąc, pisząc otwarcie do autora *Kasyd*: „Pan kształtuje świat, po prostu widzę świat w barwach Pana” (2 stycznia 1931).

Większość z nas, w dzieciństwie i młodości zagorzałych czytelników, nieraz miała wrażenie, że w życiu „prawdziwym” przeżywamy tylko naśladownictwo czegoś, o czym wcześniej czytaliśmy, w wypadku wchodzącego w dorosłość Miłosza to poczucie jest szczególnie mocne, ale też – szczególnie ciekawe. Obok deklaracji uświadomienia sobie, iż wszystkie jego „porywy” to może „tylko piętno *Dionizji* czy *Księgi dnia i księgi nocy*” (11 grudnia), w listach znajdziemy niedopowiedziane wyznania, świadectwa plątaniny uczuć towarzyszących młodemu poecie, który napomyka o przeżywaniu chwil szczególnych, gdy „patrzy się na tych, których się kocha, i nic nie można oprócz przygryzania ust – a odczuwa się przyływ szału, naprawdę szału, chciałoby się lecieć gdzieś z nożem [w] zębach, rozedrzeć na strzępy przedmiot miłości albo zamknąć w wieży i torturować głodem – a można tylko przygryzać usta i być słodkim do obrzydzenia” (Suwałki, kwiecień 1931). Miłosz siedemdziesięcioletni, próbując zrozumieć samego siebie sprzed pół wieku, uruchomi introspekcyjną sondę i dojdzie w *Roku myśliwego* do następującego wniosku: „sadomasochistyczna gwałtowność urzekała mnie u niego, bardziej może niż złoto jesieni i dojrzałych owoców”.

Niezależnie przecież od tego, czy obiektem pożądania było młodzieńcze ciało czy przeszywający pięknem krajobraz, poprzez nie osiągnane odczucie pełni istnienia – motorem egzystencji Iwaszkiewicza była zmysłowość, którą uprzytamniamy sobie, czytając jego *Dzienniki*, śledząc zachłanność i zarazem precyzję wpatrywania się w świat, a później – siłę pamięci ratującą i pozwalającą

¹ Czesława Miłosza *autoportret przekorny*, rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, s. 66.

² Czesław Miłosz, *Historia literatury polskiej*, przeł. Maria Tarnowska, Znak, Kraków 2010, s. 450.

przeżywać na nowo drobiny tego świata. Czasem zresztą wszystkie te jakości spotykały się, jak choćby w tej epifanijskiej chwili z lata roku 1974, gdy sędziwy już pisarz, łącząc wspomnienie dawnych przyjaźni z czystością kontemplacyjnego zachwyty, zapisze: „lubin późno się rozwinął i rozkwitła tylko jedna żółta kiść, taka czysta i nowa. Stałem przed nią jak wryty. Taka radość lata w niej mieszkała, żółta kiść lubinu zawierała w sobie tyle! Miałem uczucie, że to jeden ze Świerczyńskich zakwitł na polu. Na przykład Tomek, taki był uroczy i właśnie czysty, jak ta kiść lubinu. Za parę dni będzie tych lubinów więcej, ale ten jeden oszołomił mnie ilością treści, którą w sobie zawierał. Przez chwilę było cudownie, młodo i pachnąco”¹.

W jeszcze jednym fragmencie *Roku myśliwego* Miłosz podejrzewa, iż być może jego młodzieńcza fascynacja twórczością Iwaszkiewicza była efektem projekcji: „to ja wyposażyłem jego wiersze w coś, czego w nich nigdy nie było, przenosząc na nie mój własny erotyzm, moją żarłoczność, moją muzykę”, rzeczywistość wydaje się przecież inna. Nie tylko młody, ale i dojrzały Miłosz cechował się równą Iwaszkiewiczowi intensywnością przeżywania i pamiętania, a zatem zachodziło tutaj raczej niezwykle powinowactwo. Autor *Nieobjętej ziemi* mógłby wręcz – po dokonaniu drobnych korekt – powtórzyć deklarację autora *Dionizji*: „żaden biograf nie napisze dobrze mojej biografii, ponieważ w moim zwyczajnym, szarym życiu [...] nie weźmie pod uwagę intensywności moich przeżyć, która to intensywność nadaje barwę [...] najpospolitszym przebiegom”². A nawet w pewien sposób ją powtarzał, pisząc, że długi tor jego życia tak naprawdę „zasługuje na wzruszenie ramion / I jest tylko biografią, to znaczy zmyśleniem” (*Do leszczyny*, WW 1161).

W Miłosza odczuwaniu egzystencji, odczuwaniu, które próbował przekazać Iwaszkiewiczowi na początku lat trzydziestych XX wieku, łączyły się z sobą erotyka, miłość własna, ale też religijność. Wiosną 1931 roku przyszły autor *Ziemi Ulro* ukazuje już nie „szanownemu panu”, lecz „Jarosławowi” walkę, którą toczy dzień za dniem – posłużmy się tytułem czytanej wtedy przez młodego poetę powieści Bernanosa – „pod słońcem szatana”:

To jest najzwyczajniejsze w świecie kuszenie – Jarosławie – wierzę w Diabła, naprawdę wierzę – on jest ciągle przy mnie – od dzieciństwa kusi [...]. Ukazuje jak Chrystusowi na górze wszystkie skarby świata, najpiękniejsze rytmy wiersza, najpiękniejsze obrazy prozy, a potem mówi, że nic z tego nie jest mi dostępne, i kiedy gryzę sobie palce, powtarza, że jestem biednym opętanym grafomanem, albo otwiera przyszłość i pokazuje mnie jako *bourgeois*, który nie umie o niczym myśleć prócz weksli. Jątrzy i napętnia pychę cierpienia, a potem unicestwia tę ostatnią podłą masochistyczną radość szepcząc, że wszystko się wyrówna, uspokoi, że moje cierpienia są dziecinne i śmieszne. Nie umiem

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, oprac. Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk, Czytelnik, Warszawa 2011, s. 402.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, oprac. Agnieszka i Robert Papiescy, Czytelnik, Warszawa 2008, s. 409.

się modlić, bo przecież świętym nie jestem – Nie mam żadnej broni. Jarosław – powiedz – czy naprawdę cała moja męczarnia nic nie znaczy, czy cała moja męczarnia jest nawozem, na którym wyrosnie jedynie wasiliok poczciwego „strasznego mieszczanina”? I w tych moich słowach jest ta przeklęta pycha, i te słowa On mi dyktuje.

Na koniec zaś z udręczeniem odnajduje się w figurze bohatera zaczerpniętej z *Kasyd*, kolejnego tomu Iwaszkiewicza, powtarzając za nim: „to ja jestem «smutny zabłąkanić, poeta bez talentu»” (kwiecień 1931).

Odczuwa swój los z gwałtownością, która kojarzyć się może z dynamiką mistycznych wzlotów i upadków, zbliżenia do boskiej światłości i strącenia w ciemność zwątpień, zresztą sam Miłosz, już niedługo autor wiersza *Do księdza Ch.* (WW 103), z wersami: „O światło potępienia, o wieczną ztratę / modliłem się wtedy, a ręce skrzydlate / czułem w każdym powiewie muskającym twarz”, ma świadomość – co dokumentują listy – splatającego się w nim zapалу artystycznego i religijnego. Opisując dni zwątpienia w siebie i pisarskiej posuchy, konkluduje: „chciałoby się po prostu leżeć na zimnych płytach krzyżem”, by dodać w następnym zdaniu: „jedynie, co mogłoby mnie uratować, to pisanie” (Wilno, 3 lutego 1931). Dwa dni wcześniej przewiduje z dozą dramatyzmu: „jeżeli będę żyć [...] to chyba skończę na neo-katolicyzmie”, rozwijając myśl o swojej „umysłowości mnicha”, o tym, że cechuje go „chrześcijański masochizm”: „czuję się tylko wtedy dobrze, jeżeli mam grzech, jeżeli mogę powiedzieć o swojej małości”. Jeszcze wcześniej wobec doświadczenia wiary, czy raczej wiary zinstytucjonalizowanej, przyjmuje pozycję wyznaczaną zarazem przez dystans i przez fascynację: „chciałbym być prawowiernym katolikiem. Tak mnie imponuje ten most zawieszony w próżni. Konstrukcja w sobie zamknięta, samowystarczalna; nie kusząca się o uchwycenie prawdy świata zewnętrznego”, znamienne kończąc wątek życzeniem: „móc stworzyć choć jeden wiersz tak zamknięty i obiektyw-ny!!!” (11 grudnia 1930). Mógłbym od razu dodać, że takie pojmowanie religii przez młodego artystę zmieni wkrótce spotkanie z poetą i mistykiem Oskarem Miłoszem, o którym wzmianka znalazła się w pierwszym liście do autora *Kasyd*.

I znów trudno nie zauważyć, że mimo wielu różnic, wszystkie te wyznania mogły budować głębokie porozumienie między Iwaszkiewiczem i jego korespondentem. Wszak uwielbiany przez Miłosza pisarz był naturą tyleż zmysłową, co *par excellence* religijną¹, o ogromnej rozpiętości duchowych doznań, których istotną składową była niechęć wobec ortodoksji, nakierowanie na poszukiwanie, wędrówkę, a nie spokojne zarzucenie kotwicy w porcie pewników. Parę lat przed poznaniem Miłosza zrywał się na manifestowanie religijnej pewności przez Jerzego Lieberta, komentując w liście do żony: „nie marzę o regionach doskonałości, gdzie przebywa dumny duch Jurka [...] jako starego grzesznika nic

¹ Bodaj najpełniejszy opis duchowego pejzażu zawartego w twórczości autora *Młyna nad Utratą* przynosi książka Piotra Mitznera *Na progach. Doświadczenia religijne w tekstach Jarosława Iwaszkiewicza*, Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2003.

mnie bardziej nie irytuje, jak doskonałość cnoty i jej pewność siebie”¹. Parę lat po poznaniu autora *Podróży* powróci do podobnych wątków w prozie o wspaniałym i symbolicznym tytule *Młyn nad Utratą*, której jeden z bohaterów, Juliusz Zdanowski, szczyli się ową pewnością siebie cnoty, jego duszy nie nawiedzają już „paroksyzmy strachu ani tragicznych zwątpień”, a wątpliwości targające jego przyjacielem, Karolem Hopferem, traktuje z „lekceważeniem, właściwym osobom, które posiadły pewność i znajdują się raz na zawsze w bezpiecznej przystani”². Nietrudno się domyślić, że za ową nadmierną pewność, będącą bodaj przebraniem pychy, Julek zapłaci cenę najwyższą – upadku i śmierci w poczuciu grzechu. A przecież, by obraz był bardziej złożony, zdąży wcześniej przejrzeć otaczający nas świat – dojrzeć za nim rzeczywistość boską. Tę samą, którą być może odwiedzał Oskar Miłosz, tę samą, którą Czesław Miłosz dekady później nazwie „podszewką świata”. W południe upalnego dnia, gdy z daleka niósł się „głos dzwonów [...] na Anioł Pański”, Julkowi niespodziewanie zielona sadzawka, rząd jabłoni, nabiegła fioletem chmura, „ten cały cichy pejzaż wydał się”:

zastłoną, zapuszczoną na jego oczy – i uczył poza tą zastłoną obecność tak rzeczywistą i dojmującą innego świata, że pod wpływem siły tego przeżycia osłabł fizycznie. Liście i woda, drzewa i przedmioty znowu wydały mu się wyobrażeniem i odbiciem innego świata, a najwyższe objawienie konkretne i słodkie dosłownie powaliło go o ziemię. Odchylił głowę w tył i jednocześnie, czując łechtanie źdźbeł trawy o kark, czuł ogrom wszystkiego ponad sobą i ogrom tego, co się w nim działo. Zamknawszy oczy powtarzał słowa sprzed kilku godzin:

– Panie, nie jestem godzien, abys wszedł pod dach mój... A mimo to czuł, jak ów Pan zabierał go i pochłaniał niby nieskończony ocean, porywał go i ciągnął za sobą w wir nieskończony rzeczywistości bardziej rzeczywistej od wszystkiego, na co patrzył i co czuł.

„Więcej niż przyjaciel”

„Blisko jest od podniesienia do upadku” – ironizował Karol Hopfer, nawiązując do rytuału mszy i kolei losu swego przyjaciela, my zaś zauważmy, że Miłosz miał też świadomość dwuznaczności łączących go z autorem *Zmowy mężczyzn więzów*, zwłaszcza od chwili, gdy w styczniu 1931 roku przyjechał na kilka dni do Warszawy. Było to zresztą możliwe tylko dzięki pieniądзом, które pożyczył, a raczej zapewne podarował mu Iwaszkiewicz, sądząc zaś z jego wspomnień, także pierwsza podróż Miłosza do Paryża, czyli jego słynna studencka wyprawa kajakowa, przynajmniej po części finansowana była z tego samego źródła³.

¹ List Jarosława Iwaszkiewicza do Anny Iwaszkiewiczowej, Paryż, 10 marca 1926 roku [w:] Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Listy 1922–1926*, oprac. Małgorzata Bojanowska, Ewa Cieślak, Czytelnik, Warszawa 2012, s. 442.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Młyn nad Utratą* [w:] tenże, *Opowiadania*, t. 1, Czytelnik, Warszawa 1979, s. 348; kolejne cytaty według tego wydania.

³ Por. Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, dz. cyt., s. 421. Dodajmy tu jeszcze napomknienie Miłosza: „Jerzy Zagórski zdał egzaminy na III kurs prawa jedynie dzięki tym 100 złotym, które dla niego dałeś” (Wilno, 12 lipca 1932).

W zetknięciu ze światem Stawiska, zwłaszcza z rozczytującą się w Prouście Anną Iwaszkiewiczową, która w tym właśnie okresie pracowała nad szkicem poświęconym autorowi *W poszukiwaniu straconego czasu*, a raczej autorowi *À la recherche du temps perdu*, miało bowiem minąć jeszcze parę lat, nim pojawiły się pierwsze tomy przekładu Boya¹, poczuł się Miłosz niedokształconym prowincjuszem. Później przyzna, że mogło to wzmacniać jego „rebelianckie nastroje”, my zaś moglibyśmy się zastanowić, w jakim stopniu poczucie niższości przyczyniło się do szukania odmiennej od Iwaszkiewicza drogi politycznego zaangażowania, na którą Miłosz wkroczy wkrótce wraz z lewicującymi wileńskimi kolegami. Do sposobu rozumienia własnej, innej niż Iwaszkiewicza sytuacji ideowej i życiowej, czego sygnały znaleźć możemy w tych listach, w których pojawiają się pierwsze elementy krytycyzmu wobec autora zbioru *Powrót do Europy*, gdy młody Miłosz dość już poufale pisze: „wolałbym, żebyś ty był jednym z obszarpańców wileńskich, żebyś był mniej dojrzały i wielki, no i żebyś nie «wracał do Europy». Mimo wszystko Twoja «burżujskość» [...] utrudnia trochę porozumienie” (Wilno, 21 kwietnia 1931). Także środowisko stołecznych kawiarni literackich rozbudzało jego kompleksy, co gorsza, Miłosz uzmysłowił sobie, że ich bywalcy widzą w nim kochanka starszego poety². Nie bez znaczenia była tu oczywiście uroda przyszłego autora *Trzech zim*, jeszcze parę lat później nie kryjący się ze swoim homoseksualizmem Paweł Hertz napomknął w liście do Iwaszkiewicza: „Miłosza widziałem, z daleka i raz, niestety nie udało mi się poznać go osobiście, czego szczerze żałuję. Jest taki ładny!” (29 listopada 1935).

Zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie wywarł na Iwaszkiewiczu, Miłosz chyba nie do końca wiedział, jak się odnaleźć w tej sytuacji. Z jednej strony prosi o pomoc w zamieszczeniu wierszy w „poważnym piśmie”, krygując się przy tym cokolwiek: „odczuwam wyrzuty sumienia, że Ciebie eksploatuję dla celów mojej «kariery», chciałbym tego nie robić – ale trudno – to już Twoja wina, że jesteś wielkim pisarzem i trochę potentatem w warszawskich stosunkach” (Suwałki, 15 kwietnia 1931). Z drugiej, gdy parę miesięcy później ów „potentat” zaproponuje mu ufundowanie stypendium, które by otrzymywał, gdyby się zdecydował na przenosiny do Warszawy, Miłosz stanowczo odmówi (list z 1 listopada 1931 roku, z Wilna). Przede wszystkim jednak stara się pojąć rodzaj uczuć, jakie wiążą go z autorem *Dionizji*. Bezpośrednio po powrocie ze stolicy pisze o tym, że mimo przyciągających go do adresata listu emocji, nie potrafi wyrwać się ze stanu samotności: „ciągle szukam przyjaźni i z chwilą, kiedy wiem, że mógłbym znaleźć przyjaciela, czuję, że wina będzie po mojej stronie, że będzie mój chłód, senność, sceptycyzm, gorycz i to straszne skamienienie”. Kończy jednak dramatycznym wyznaniem: „najdroższy, kochany [...] kręcę się w kółko jak skorpion na węglach, ciągle to samo, to samo, z nieskończoną ilością wariacji, których właśnie powiedzieć nie można. [...] Wiem tylko, że cierpię”, podpisując się

¹ Por. Anna Iwaszkiewiczowa, *Sztuka Prousta* [w:] *taż, Szkice i wspomnienia*, oprac. Maria Iwaszkiewicz-Wojdowska, PIW, Warszawa 1987, s. 46–64.

² „Mnie [...] szczególnie poniżało, kiedy kawiarnia Ziemiańska uważała mnie za chłopczyka Iwaszkiewicza” – Czesław Miłosz, *Wspomnienie* [w:] *Portret młodego artysty*, dz. cyt., s. 174.

1 lutego 1931 roku z Wilna rzadko używaną formułą: „Twój zawsze, Czesiek”. Trudno nie pomyśleć, że jest to list człowieka zakochanego, zwłaszcza gdy w następnym liście znajdziemy słowa: „myślę o Tobie i wyobrażam Ciebie w biurze, w domu, na ulicy, w kolejce” (Wilno, 11 lutego), szybka zaś rewizyta Iwaszkiewicza w Wilnie przynosi studentowi prawa rozgorączkowane noce:

za dużo zahamowań – i dlatego sny zbyt dużo mi wyjawiają – mają takie wspaniałe kompleksy. Jeden był szczególnie fantastyczny, brałeś w nim udział Ty, raz „sam w sobie”, a drugi raz pewne twoje elementy wchodziły w całokształt postaci kobiety. Sen ten, pełen potworności, od których skóra cierpienie, miał nadzwyczajne przedstawienia. Całowała mnie i pieściła owa istota: ukobiecony Ty – a inny znowu fragment snu to: miałem stosunek z mężczyzną, który był umęczoną dziewczyną, z którą rzeczywiście spędziłem kilka nocy. Pierwsze było rozkoszne, drugie – ohydne. Temat dla freudystów pierwszorzędny [Wilno, 8 marca].

Nie szukając podpowiedzi u Zygmunta Freuda, sam mógłbym zaryzykować hipotezę, iż w tych snach pobrzmiewa marzenie o pełni: o połączeniu spełnienia seksualnego osiąganego w stosunku z kobietą i spełnienia intelektualno-duchowego, które reprezentował sobą Iwaszkiewicz. We wspomnieniach autora *Sławy i chwały* wszystko było prostsze. Czytając *Rodzinną Europę* Miłosza, gniewając się na niedocenienie w tej książce swojej postaci, przypomniał Iwaszkiewicz nie tylko pomoc materialną, jakiej niegdyś udzielał swemu podopiecznemu, lecz także da do zrozumienia, że zachowane listy wyjaśnia, „co znaczyły dwa tygodnie spędzone przez Czesia w Brukseli u mnie, z weekendem w Zout, mój przyjazd do Wilna w maju 1936 itd., itd.”¹. Ową podróż do Wilna wspominał już wcześniej, w budzącym emocje wielu czytelników fragmencie *Dziennika*: „każda epoka ma swój styl, nawet w drobiazgach i w innej epoce nie można pewnych rzeczy realizować. Mogłem w maju 1936 roku chędożyć Czesia Miłosza w mickiewiczowskiej celi Konrada u Bazylianów w Wilnie. Była cudowna noc z księżycem i słowikami. Rzecz nie do pomyślenia w roku 1824 ani 1954. Gdzie teraz Mickiewicz? Gdzie Miłosz, a gdzie Iwaszkiewicz?”².

Zapis ten ma charakter refleksyjno-nostalgiczny i wbrew pierwszemu wrażeniu czytelnika – nie jest prostym stwierdzeniem faktu. Zupełnie jednoznaczne jest natomiast napomknienie o Miłoszu w liście Iwaszkiewicza do Jerzego Lisowskiego: „to bardzo wielki mój przyjaciel, nawet przez pewien czas więcej niż przyjaciel. Niestety, tamto prędko minęło”³. Nie warto zatem gubić się w kolejnych zastrzeżeniach i wątpliwościach, mądrzej jest przyjąć, że wspomnienie Iwaszkiewicza oddaje prawdę miłosnego uniesienia, tej chwili, gdy poeta przyjechał na wieczór autorski do Wilna, został na kilka dni, nocował w dawnym

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, dz. cyt., s. 421.

² Tenże, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 450.

³ Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, Jerzy Lisowski, *Listy 1947–1979*, t. 1, oprac. Agnieszka i Robert Papięscy, Sedno, Warszawa 2020, s. 230 n; list z 18 maja 1949 roku.

klasztorze Bazyliańców, pływał żaglówką po Jeziorze Trockim, do żony zaś wysyłał pocztówkę, co charakterystyczne, nie wspominając o swym przyjacielu: „cudownie w Wilnie, ciepło i słonecznie, choć wiatr. Rzeczywiście latem Wilno ładniejsze niż w zimie, choć w ogóle jako miasto do powietrza. Bardzo dużo myślę o Tobie, ściskam Cię i całuję”¹. Skoro tak, możemy wpisać ów epizod w dłuższą historię Iwaszkiewiczowych podbojów, obok wcześniejszego i skądinąd nieudanego pocałunku, który po wielu dekadach wspominał Józef Czapski: „pamiętam jeszcze z obrzydzeniem te ogromne, śliskie usta”². I obok, przeskoczmy do innego pokolenia, uwag Iwaszkiewicza o niewypowiedzianej przez literaturę zmysłowej atmosferze okupacji i powstania warszawskiego, z której w pamięci pisarza pozostaje jedynie „pocałunek Gajcego i cała intryga Jerzego [Andrzejewskiego], abym się z nim nie spotkał”, a wspomnieniu towarzyszy westchnienie: „gdybyż to można było pisać o tym wszystkim jak Genet! W ogóle żeby wreszcie mógł napisać swobodnie o sprawach seksualnych – ale teraz to już by było starcze lubowanie się. [...] Nie trzeba. Niech ci wszyscy ludzie zostaną czysti jak łyż”³.

W naszej współczesności o byciu czystym jak łyża szczęśliwie przestaje decydować tak zwana heteronormatywność, dla tej opowieści mniejsze znaczenie ma jednak to, czy rodzaj zakochania łączący Miłosza z Iwaszkiewiczem znalazł swą cielesną realizację. Ciekawsze, także dla zrozumienia twórczości obu pisarzy, wydaje się uzmysłowienie sobie właściwego im sposobu traktowania relacji łączących mężczyzn i kobiety. W kilka miesięcy po pierwszym pobycie Miłosza na Stawisku, relacjonując żonie swą podróż do Włoch, kontakt z mieszkającym w San Gimignano wspomnianym tu już Józefem Rajnfeltem, kontakt, który miał mu pozwolić w pełni odczuć włoskie malarstwo, Iwaszkiewicz podsumowywał: „z kobietą nawet najmądrzejszą nie przeżyje się właśnie tego sięgnięcia w istotę pewnych rzeczy. Ciebie nie uważam za kobietę, ponieważ u ciebie płeć nie jest na pierwszym miejscu, nie jest tym najważniejszym, co obnosi każda baba jak relikwie, procesjonalnie po całym świecie”⁴. W *Młynie nad Utratą* zaś porzucenie przez Julka drogi do ascetycznej katolickiej świętości, zwiążanie się z kobietą, zgryźliwie skomentuje Karol: „taka baba zabiera nam takiego człowieka!”. Wydaje się, że bardzo podobnie uważał – przynajmniej młody – Miłosz. W listach ekspediowanych na Stawisko pisze, że uczucia do kobiet są może nieuniknione, ale jednak „raczej męczą i nudzą” (Wilno, 11 grudnia 1930). Że oczywiście nieobce są mu doświadczenia erotyczne, najchętniej jednak nie wiązałyby ich z większymi emocjami, traktował jako niezbędny „element higieny”: „mężczyźnie komplikowanie tych spraw, to znaczy «zakochywanie się», «uwznioślenie» i inne w tym rodzaju historie [...] najlepiej bym się czuł, gdyby zawsze *post factum* umyć się i stać się na nowo na pewien czas anachoretą i ascetą” (Suwałki,

¹ Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Listy 1932–1939*, oprac. Małgorzata Bojanowska, Ewa Cieślak, Czytelnik, Warszawa 2014, s. 694.

² Józef Czapski, *Świat w moich oczach*, rozmowy przeprowadził Piotr Kłoczowski, Apostolicum, Ząbki–Paryż 2001, s. 129.

³ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, dz. cyt., s. 225 i nast.

⁴ Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Listy 1927–1931*, oprac. Małgorzata Bojanowska, Ewa Cieślak, Czytelnik, Warszawa 2012, s. 525; Genewa, 26 września 1931 roku.

2 stycznia 1931). I że tylko kontakt z Iwaszkiewiczem to nić łącząca go z „wyższym porządkiem rzeczy”, gdyby zaś zdecydował się na kontynuowanie jednego z romansów, skończyłoby się to źle: „wpadałbym subtelnie w jełopowatość w ramionach tejże dziewczyny”. By jeszcze nieco rozszerzyć myślowe spektrum, zauważmy, że w tym samym liście Miłosz posługuje się znamienne sarkastyczną formą żeńską: „poetką w rodzaju Tuwima nie chciałbym może być, ale poetą w rodzaju Iwaszkiewicza bardzo” (Wilno, 21 maja 1931).

Nietrudno dojść do wniosku, że we wszystkich tych zgryźliwościach po-brzmiewają echa tak zwanego katolickiego wychowania, przekonania o grzeszności naszego ciała, które to przekonanie z zapalem wpajał swym gimnazjalnym uczniom prefekt Leopold Chomski, adresat cytowanego już utworu *Do księdza Ch.* Dobrze się te wątki komponują z bliskim Miłoszowi „manicheizmem”, a ostrożniej mówiąc – przekonaniem o skażeniu świata, o tym, że nasze dusze zostały schwytane w pułapkę materii. I z tym głęboko zakorzenionym w kulturze stereotypem – bliskim zresztą także Iwaszkiewiczowi, choćby jako autorowi powstających na początku lat trzydziestych opowiadań *Brzezina* i *Panny z Wilka* – który męskość wiąże z intelektualizmem i poszukiwaniami duchowymi, pierwiastek kobiecy z somatycznością i światem natury. Z tego punktu widzenia wysublimowany, platoniczny homoseksualizm byłby próbą ucieczki przed uwięzieniem w zbrukanej materii, dążeniem w górę, ku wyobraźni i artystycznemu spełnieniu. Bardzo już wiekowy Czesław Miłosz przyzna zresztą w rozmowie z Tadeuszem Różewiczem: „u mnie odzywają się pewne echa mizoginizmu”, rozwijając następnie to spostrzeżenie: „w mojej twórczości istnieje problem kobiety jako przedstawicielki natury. Ponieważ natura nie jest w moich oczach przyjazna człowiekowi, wobec tego głęboka identyfikacja kobiety z naturą nasuwa pewne podejrzenia groźby niebezpieczeństwa ze strony kobiety”¹.

„Nowe Życie Na Wielką Skalę”

Myślę, że te erotyczne i religijne napięcia w duszy dziewiętnastolatka były jeszcze w dużym stopniu utajone, zepchnięte w głąb „na-poły-świadomości”. To natomiast, z czego ów młodzieniec dobrze zdawał sobie sprawę, to olbrzymia siła powołania, zmuszająca go do prób stania się artystą. W listach Miłosza z lat trzydziestych minionego wieku nie znajdziemy – nic w tym zresztą specjalnie dziwnego – marzeń o rodzinie, stabilności mieszczańskiego życia, karierze prawniczej czy po prostu materialnym bezpieczeństwie, które zresztą biedującemu studentowi by się przydało. Znajdziemy natomiast pragnienie: „muszę stać się wielkim” (Wilno, 9 kwietnia 1931).

Już niedługo uczeń przerośnie mistrza, teraz wszakże autor *Powrotu do Europy* jest dla Miłosza punktem orientacyjnym na drodze do „utrwalenia siebie”, kimś, komu można zadeklarować: „jakże ja cenię Twoją obecność, te rzadkie momenty Twojego wodzostwa!” (Krasnogruda, 15 kwietnia 1934). Deklaracją

¹ *Dialogi poetów: Czesław Miłosz i Tadeusz Różewicz*, rozmowy przeprowadziła Renata Górczyńska [w:] *Wbrew sobie. Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem*, oprac. Jan Stolarczyk, Biuro Literackie, Wrocław 2011, s. 441.

taką odpowiadał zresztą na melancholijne myśli Iwaszkiewicza, w jednym z ówczesnych wierszy zapisującego wyobrażenie mającego się kiedyś narodzić poety (będącego przy tym, a jakże, „pięknym młodzianem”), który poznając jego twórczość, „westchnie: «Ach, z tym wodzem chciałbym iść... lub z nikim!»” (*Moje wodzostwo*, W1, 271). Przez kilka lat rzeczywiście chciał Miłosz przynajmniej od czasu do czasu wędrować właśnie z Iwaszkiewiczem, pisząc na stronach tytułowych kolejnych swych książek dedykacje: „z prośbą, aby wiele wybaczył”, „czystemu poecie od jednego z mniej czystej młodzieży” czy wreszcie w tomie *Trzy zimy* – „Jarosławowi, tę książkę ucznia”¹. W jednym z listów znajdziemy obraz Iwaszkiewicza jako archaniola wypędzającego grzesznika z raju, może raju poezji: „ściskam Cię, nauczycielu, co złoty masz hełm, w płomieniach miecz” (Krasnogruda, 13 września 1935), a powstały nieco wcześniej i zadedykowany Iwaszkiewiczowi wiersz *O młodszym bracie* kończy się słowami: „Mój nauczyciel, smutny, pogardliwy, / nie wie, że śledzę każdy jego krok” (WW 73).

Stopniowo coraz bardziej samodzielny, uczący się realizować własny postulat „poezja – organizacją intelektu” (Wilno, 20 października 1931), nadal przyznawał: „cóż poradzę na to, że podobają się mnie Twoje wiersze – i *Powrót do Europy*, i doskonale *Lato 1932*, i dawne. Przerobiwszy peiperyzm i wszelkie inne przybozizmy *minorum gentium*, można dopiero oceniać Ciebie, nie zapominając zresztą o niebezpieczeństwach, jakie Ci grozić mogą”. Zapowiadał też: „za kilka dni będę miał w Wilnie coś w rodzaju prelekcji, w której będę użerał się o Iwaszkiewicza, jedyne pisarza Skamandra, z którego coś zostanie” (Warszawa, 14 marca 1934). Moglibyśmy powiedzieć, iż wiosną roku 1934 miał przeblysł jasnowidzenia, niezależnie bowiem od zawartości szkolnych programów czy nawet refleksji krytycznoliterackiej, w rzeczy samej spośród skamandrytów dziś jedynie Iwaszkiewicz jest twórcą przykuwającym uwagę, od kilkunastu już lat – wręcz ogromniejącym.

Korespondencja z nim przypomina również, jak w gruncie rzeczy krótki był w wypadku Miłosza okres radykalnie lewicowego zaangażowania, chęci podporządkowania sztuki celom rewolucyjnym, okres, który można symbolicznie wyznaczyć dwoma cytatami. Pierwszym z jesieni 1931 roku, gdy wileński student przekonuje „Jarosława”, że „jedynym kryterium osądzania dzieła sztuki jest jego rola społeczna”, a w polityczno-artystycznym dyskursie „trzeba zrehabilitować fanatyzm” (Wilno, 1 listopada 1931). I drugim, z wiosny 1934 roku, gdy tenże nadawca przyznaje, że towarzyszy mu już „zupełna obojętność na doktrynerskie pozy”: „nic mnie naprawdę nie obchodzą tzw. «sformułowania», «postawy zasadnicze» i tym podobne brednie” (Wilno, 18 kwietnia 1934). Piękniej wypowie to, mieszkając już w Paryżu i zwracając się autorowi *Lata 1932*: „nie mogę Ci nawet powiedzieć, ile rzeczy mi się odkrywa, jak opada ślepotą, o której zresztą poprzednio wiedziałem. [...] wielkość życia jest niezmierna, trzeba dziękować

¹ Dedykacje w ówczesnych publikacjach książkowych Czesława Miłosza brzmią: „Jarosławowi Iwaszkiewiczowi z prośbą, aby wiele wybaczył. Czesław Miłosz Wilno 1933, 23 x” (*Poemat o czasie zastygłym*); „Jarosławowi Iwaszkiewiczowi czystemu poecie od jednego z mniej czystej młodzieży. Czesław Miłosz Wilno, 1933, 23 x1” (*Antologia poezji społecznej 1924–1933*); „Jarosławowi tę książkę ucznia Czesław Miłosz, Warszawa 10 grudnia 1936” (*Trzy zimy*). Por. Czesław Miłosz, J. Iwaszkiewicz, *Portret podwójny*, dz. cyt., s. 374 i 391.

ręce, która nas prowadzi” (Paryż, 19 grudnia 1934). Ręka prowadziła od politykierstwa, podporządkowania się ideologii do trafnego rozpoznania własnej osobowości, jej zasadniczo nie politycznego, lecz metafizycznego charakteru. Nieco metaforycznie moglibyśmy wskazać, że obecność tej ręki znów poczuje Miłosz, kończąc inny rozdział swego życia, w 1951 roku zapisując wspaniałe linie wiersza *Mittelbergheim*: „Ogniu, potęgo, siło, ty, co mnie / Trzymasz we wnętrzu dłoni, której bruzdy / Są jak wąwozy olbrzymie, czesane / Wiatrem południa. Ty, co dajesz pewność / W godzinie lęku, tygodniu zwątpienia” (WW 386) ...

Kilkumiesięczny pobyt autora *Poematu o czasie zastygłym* w Paryżu na przełomie roku 1934 i 1935 upływał pod duchowym patronatem Oskara Miłosza i niewątpliwie w dużej mierze to jego promieniowaniu młody poeta zawdzięczał ozdrowieńczy proces, nie przestawała przecież mieć znaczenia także obecność w tym intelektualnym pejzażu Iwaszkiewicza. Już po powrocie do Wilna to jemu właśnie zwierzać się będzie, że wobec i doktrynerstwa komunizujących kolegów, i autentycznej nędzy panującej na polskich ulicach – niezwykle trudno jest „ocalić [...] garsteczkę nieziemskich prawd” (Wilno, 21 stycznia 1936). Jego też powieść *Czerwone tarcze* stanie się dla Miłosza punktem wyjścia artykułu broniącego niezależności artysty od postulatów formułowanych czy to przez lewicowych, czy „państwowotwórczych” ideologów, od już wtedy, na długo przed czasami socrealizmu pojawiającej się chęci oceniania sztuki z perspektywy „zapotrzebowania społecznego”, chęci „zracjonalizowania” artystycznej wizji. Tymczasem – mówi autor szkicu *Swojskie pryncypia i artysta* – „prawdziwa wizja jest logicznie trudna do ujęcia, krucha i z pozoru mało znacząca”¹. I jeszcze parę lat później, już u progu wojny, obejrzawszy nową sztukę Iwaszkiewicza, poświęconą śmierci Puszkina *Maskaradę*, w szkicu-liście do jej autora retorycznie westchnie: „pokaż mi kraj, gdzie mogliby żyć poeci, których wszystkie piękne wiersze byłyby na równi kochane, gdzie sam dar talentu gromadziłby tłumy”. W relacjach łączących autora *Eugeniusza Oniegina* z otoczeniem, z żoną i carskim dworem, odnajdzie też jeszcze jedną realizację stale obecnej w twórczości starszego pisarza opozycji między człowiekiem przeciętnym a artystą, opozycji wynikającej nie tylko z różnicy talentu, ale i formacji psychologicznej. Po jednej stronie bowiem mamy przystosowanie do społecznych norm, przekonanie, że roztropnie będzie „rozdzielać uczucia po trochu [...] nic nie tracić, niczego się nie wyrzekać, nie poświęcać się”. Po drugiej – „wyłączność uczuć”, gwałtowność przeżycia, z początku nawet niemożność pojęcia, że możliwy jest inny egzystencjalny modus, którego ostateczne uprzytomnienie sobie jest „jak zobaczenie, że świat, który się brało za zbudowany ze spizu, jest tylko z próchna”. Czy można zmienić ów zwykły rytm codzienności? Oczywiście nie, można „chcieć tylko odgrodzić się, zamknąć się w strofie, która ma rzeczywistość śmierci, albo w śmierci, którą z poezją łączy jej niewątpliwa pewność”².

¹ Czesław Miłosz, *Swojskie pryncypia i artysta* [w:] tenże, *Przygody młodego umysłu. Publicystyka i proza 1931–1939*, oprac. Agnieszka Stawiarska, Znak, Kraków 2003, s. 126.

² Czesław Miłosz, *List do Jarosława Iwaszkiewicza*, „Teatr” 1938/1939, nr 4–5, cyt. za: Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, *Portret podwójny*, dz. cyt., s. 113 i nast.

Znacznie młodszy od Iwaszkiewicza Miłosz nie został ukształtowany przez artystowską mitologię przełomu XIX i XX wieku, nie znaczy to jednak, że nie odczuwał różnicy między pogrążeniem w sprawach, które możemy nazwać „doczesnymi” czy „praktycznymi”, a refleksją, kontemplacją, twórczą pracą wyobraźni. Wiedział też, że przynajmniej w równym stopniu co warunki zewnętrzne sam jest odpowiedzialny za utrzymanie w sobie więzi ze wspomnianym przed chwilą „wyższym porządkiem rzeczy”, za obronę przed – powtórzmy jego dosadne określenie – „jełopieniem”. Za ponawianą dzień po dniu próbę budowania tego, co można też nazwać, posługując się terminem zaprzyjaźnionego z Iwaszkiewiczem Witkacego, „N.Ż.N.W.S.”, czyli „Nowym Życiem Na Wielką Skalę”. Albo raczej, sięgając do samego Iwaszkiewicza – „życiem innym”. Pełnią istnienia, którą autorowi *Młyna nad Utratą* objawiały szczątki antycznej świątyni w Segeście – emanujące pięknem i duchowością, ale też, poniekąd paradoksalnie, witalnością. Milczące bloki kamienia zmuszające poetę do obrachunku z własnym sumieniem, do rzucenia samemu sobie wyzwania: „Trzeba życiem żyć. / Nie twoim, Jarosławie – ale Życiem Innym” (W1, 404).

Już mając dwadzieścia cztery lata, Miłosz obawiał się, że jego egzystencja grzęźnie w banale, skłamanych kompromisach, a przyjacielowi zadawał pytanie: „czy to, co braliśmy za wicher metafizyczny, nie okazuje się często płacziwą piosenką z marnego kabaretu?” (Krasnogruda, 27 września 1935). W roku 1938 natomiast, pisząc dla „Jarosława” wiersz na jego czterdzieste czwarte urodziny, łącząc się z adresatem w poetyckim „my”, zada pytanie, czy obaj są w stanie utrzymać świadomość prawdy i świętości istnienia, wiarę „w czas prawdziwy, / W dzierzaw nieziemskich moc, w widzenia dar”, a więc te duchowe jakości, które twórcę pozwalają nazwać „chrzcicielem z wody żywej” (20 lutego 1938 roku, WW 117). Był zresztą ten wiersz częścią poetyckiego dyptyku, a jego drugie skrzydło tworzy zwrócony do Miłosza utwór Iwaszkiewicza, w którym adresatowi i jego twórczości przypisana jest moc ozdrowieńcza, zdolność wyrwania mówiącego w wierszu podmiotu z melancholii, duchowego letargu, z „czasu posuchy”. Gdy bowiem twórcze źródło zdawało się zdławione, wyschłe, oto niespodzianie:

Głos twej muzy zagrał granatowej,
I srebrnych pięt jej taniec zabrzmiał jak muzyka,
I śpiew jej niby krople ożywczego deszczu
Opadł na mnie. I nagle, patrzże, cud prawdziwy,
Głosem jej, niby wodą srebrną, źródło moje
Nappełniło się całe i było zwierciadłem.
Ujrzałem w czarnej głębi znów moje oblicze
I było znowu dawne, młode i szczęśliwe¹.

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Do Milona*, W1, 393. Jeszcze dekadę później pisał Iwaszkiewicz z zachwytem: „Ale Miłosz? Niech mi kto wytłumaczy. / Dlaczego mi serce ustaje. / Gdy tylko usłyszę jego wiersz. / [...] Dlaczego wtedy czuję, że żyję?” – *Podróż do Patagonii*, W2, 192.

W tym samym czasie, gdy powstawały te wiersze, Miłosz gwałtownie krytykował *Pasje błędmierskie*, powieść Iwaszkiewicza, której jednego z bohaterów, utalentowanego, ale zarazem boleśnie grzesznego artystę uznał za swój sarkastyczny wizerunek. Wycofując się następnie z zarzutów, wyznawał „gorycz niespełnienia” i w liście kreślił autoportret:

stale cierpię z powodu niemożności zdobycia pełni przeżywania swojego życia tak mocno, jak ono na to zasługuje. I tak być powinno, nie ma na to żadnej innej drogi, sens właśnie wielki jest w tym, żeby wstawać o oznaczonej godzinie, spełniać prace, jakie spełniać potrzeba, nie zajmować się swoim szczęściem czy nieszczęściem, afirmować ten zlepek biednych faktów i zdarzeń – bo żaden „lot” nie jest już możliwy, mając dwadzieścia lat wierzy się w lot, w przygody, w ucieczkę, w dziwność i w sławę. Potem przychodzi już inne znaczenie, zostaje jakiś strumyczek „innego życia”, który sączy się pod powierzchnią zwyczajności, misja jakaś własna dla każdego człowieka i jemu tylko przeznaczona, choćby nie różnił się z pozoru od innych ludzi. Ten moment przesilenia, zakończenia buntu jest trudny i są takie dni, kiedy wrogo odnosimy się do wszystkiego, co naszą pychę posiadania „innego życia” podrywa [Warszawa, 9 kwietnia 1938].

Symbol „innego życia”, którego dotknięcie jest łaską, powracać też będzie w autorefleksji Iwaszkiewicza. Gdy w 1974 roku dowie się o tym, że Jerzy Kwiatkowski ukończył książkę poświęconą jego poezji, zachwyty krytyka skłoni go, by po latach przejrzeć tom *Inne życie*, przypomnieć sobie choćby zapisane w nim pragnienie: „chcę być, chcę trwać, chcę myśleć, chcę cierpieć, chcę tworzyć” (*Wieczór późnej jesieni na polach pod Sieną*, W1, 368). Westchnie wtedy w *Dziennikach 1964–1980*:

przyznam się, że byłem poruszony. Przede wszystkim odżyła we mnie epoka, kiedy te wiersze pisałem [...]. Czas choroby Hani, przyjaźni z Czesiem M[iłoszem] i z Toniem [Sobańskim], czas, kiedy istnieli Józio R[ajnfeld] i Paweł H[ertz]. Poza tym uderzyła mnie [...] niesłychana intensywność przeżyć, głębokie wewnętrzne poruszenie, zamyślenie nad istnieniem człowieka i założeniami sztuki. [...] A samo zakończenie wzruszyło mnie do łez, teraz szczególnie: „Trzeba życiem żyć, nie twoim Jarosławie, ale Życiem Innym”. Jak mi strasznie zrobiło się daleko do „Innego życia”, jak bardzo ugrzęzłem w moim życiu. Ach, jak to niedobrze, jak to smutno!

„Z tobą, złotko, nie mogę się przywitać”

Bohaterowie tej opowieści byli osobowościami tak przepastnymi, wiedli życie tak bogate, że próba opisania ich powiązań, wzajemnych fascynacji, a wkrótce też – dramatycznie różnych wyborów, rozrasta się pod piórem, pęcznienie, pragnęłaby może przekształcić się w książkę. Nie chcąc zginać w niej na zawsze, musząc bieg tego tekstu przyspieszyć, przypominam jedynie najważniejsze

biograficzne punkty z kolejnych kilku lat. Chwilę z czasu niemieckiej okupacji, kiedy to Iwaszkiewicz grupie przyjaciół czytał opowiadanie *Bitwa na równinie Sedgemoor*, a jeden ze słuchaczy, Czesław Miłosz, doszedł do wniosku, iż wymowa tego tekstu ukazującego, jak czyny bohaterskie przynoszą jedynie klęskę, a już na pewno – zostają zapomniane, jest odsłonięciem najbardziej osobistych przekonań prozaika, które niedługo później pomogą mu znaleźć porozumienie z komunistyczną władzą¹. A przynajmniej tak rekonstruował ten moment z perspektywy dekad, jego reakcja bezpośrednia była może bardziej emocjonalna, skoro Anna Iwaszkiewiczowa, wspominając tę samą głośną lekturę, odnajdywała w pamięci „Czesia Miłosza na kanapie narożnej siedzącego z wielkimi łzami na twarzy, jak dziecko”².

I chwilę kolejną, w pewien sposób z poprzedniej wynikającą, kiedy to w paryskim teatrze Anno Domini 1955 Miłosz emigrant ogląda przywiezioną z Polski Ludowej inscenizację *Lata w Nohant*, a zaproszony na premierę autor tej sztuki, jeden z prominentów życia literackiego nad Wisłą, Jarosław Iwaszkiewicz, mija go w foyer, nie podając ręki i rzucając: „Z tobą, złotko, nie mogę się przywitać”³. Zresztą cztery lata wcześniej, dowiedziawszy się o ucieczce swego przyjaciela, obruszał się w liście do żony: „uważam to za najwyższe świństwo, jakie tylko może być, odłożyć sobie dolarków przez te parę lat (z tego, co ten nieszczęsny górnik wykopał węglem!) i potem wymigać się od tego, co winno być nas wszystkich udziałem, w sposób tchórzowski i małoduszny”. Dodawał jeszcze, właściwie rozbrajająco: „nie ma słów na to i nawet ten śliczny krawat stał mi się niemiły i nie chcę nań patrzeć”⁴. Krawat musiał mu kupić Miłosz w waszyngtońskim, a może już paryskim sklepie, dolary pochodzić zaś miały z pensji Miłosza – od 1946 roku dyplomaty w Stanach Zjednoczonych.

Nie będę w tym miejscu próbował rozwikłać kłębu myśli i emocji, które Iwaszkiewiczowi – i nie tylko jemu – kazały wierzyć, że ucieczka z Polski oddanej we władanie komunistów, a może jeszcze bardziej – wybranie losu innego od losu pozostałych w tym kraju pisarzy – jest niewątpliwą zdradą, a zapewne też drogą do artystycznej śmierci, tak bowiem można odczytać choćby fragment kolejnego listu do Anny Iwaszkiewiczowej, w którym autor *Powrotu do Europy* protekcyjnie ocenia „egoizm tego chłopca” i ubolewał: „szkoda mi jego poezji”⁵. Najważniejsze jest tutaj, a dotyczyło to także przecież i samego Miłosza, że przynajmniej po części były to przekonania szczerze. Zapewne już w roku 1951 Iwaszkiewicz zapisuje wiersz będący utajoną dyskusją z Miłoszem, oskarżeniem go o egoizm i niepamięć, wiersz zaczynający się od słów: „Nie zapomina się tak łatwo życia / Ani odwraca wzroku od mogił i krzyżów, / Czy czujesz jeszcze zapach płonącego getta, / Ty, który alejami przechodzisz Paryża?” (** [Nie zapomina się...]),

¹ Por. Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, dz. cyt., s. 213 i nast.

² List Anny Iwaszkiewiczowej do Pawła Hertza, Stawisko, 3 lutego 1947 [w:] Paweł Hertz, Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, dz. cyt., s. 181.

³ Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, dz. cyt., s. 194.

⁴ List Jarosława Iwaszkiewicza do Anny Iwaszkiewiczowej, Stawisko, 12 lutego 1951, cyt. za: Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, *Portret podwójny*, dz. cyt., s. 217.

⁵ Tamże, Stawisko, 19 lutego 1951, s. 217.

W2, 150). Badacz twórczości Iwaszkiewicza, Robert Papiński, przypuszcza, że także w 1951 roku, podczas podróży poety do Włoch, mógł narodzić się pomysł wiersza kolejnego, który ostatecznie przyoblekł się w ciało słów trzy lata później¹. Możemy zatem być pewni, że Iwaszkiewicz o „egoistycznym chłopcu” nie zapomniał, przeciwnie – myślał intensywnie, w owym kolejnym utworze zaś, noszącym tytuł *Do NN*, dostrzec próbę – mimo wszystko – pojednania. Choć bowiem Miłosz jest tu raz jeszcze ukazany jako ktoś, kto wybrał drogę łatwiejszą, kto swej intelektualnej błyskotliwości używa po to, by uniknąć „walki i cierpienia”, ten zaś człowiek, który mówi w wierszu, niewątpliwie tożsamy z jego autorem, wybierając los o wiele cięższy, radować się może czystym sumieniem i faktem, że dzieli go z polskim społeczeństwem, to ostatnia linia utworu zdaje się zapowiadać przekroczenie podziałów, odnalezienie się w mimo wszystko wspólnej obu poetom doli, brzmi bowiem: „płaczę za siebie i płaczę za Ciebie”.

Nie trzeba dodawać, że poetyckie dyskusje Iwaszkiewicza z Miłoszem emigrantem, czy też raczej: uciekinierem, były bardziej skomplikowane niż ataki, które kierowali przeciwko niemu niektórzy inni pozostali w Polsce pisarze, choćby Gałczyński, stwierdzający najprościej: „A ty jesteś dezterter. / A ty jesteś zdrajca”². Warto natomiast z wiersza *Do NN* wydobyć jeszcze jeden symboliczny obraz podpowiadający drogę dalszego namysłu. Czytamy tu mianowicie: „Ale przecie nie tylko, jak to mówił Heine, / Sosna w śniegu zazdrości południowej palmie, / Ale i palma w swojej dżungli złotodajnej / Zazdrości sośnie. Palmo, ciebie żal mi!” (W2, 253). Zauważając stylistyczne ryzyko ostatniego wykrzyknienia, powróćmy do włoskiej podróży Iwaszkiewicza z listopada 1951 roku. Siedząc w pokoju neapolitańskiego hotelu i samemu nieco dziwiąc się swoim myślom, poeta zapisywał wtedy:

w przeciwieństwie do wiersza Heinego jestem w tej chwili nie jak sosna marząca o palmie, ale palma południowa marząca o sośnie na dalekiej północy. Myślę o domu. Wyobrażam sobie to stare już domisko stojące gdzieś hen, daleko, w pośrodku lasu, w ciemny choć oko wykol wieczór listopadowy. Wicher, mgła, wilgotno i ponuro, wiatr uderza w okna. Tam są moi najbliżsi, żona, córka, wnuki, przybrany syn. Wszyscy przeznaczeni dla tego widoku, dla tej ciemności, tej nocy listopadowej. I żadna Demeter, żadna Kora im się nie ukazuje. W domu jest jasno i ciepło, ale stoi on taki samotny pośród bezbrzeżnej, ciemnej równiny. W tym domu tai się i chowa wszystko, co przeżyłem przez tak długie lata, wszystko, co przeżyłem przez całe życie. Wszystkie moje książki, wszystkie moje myśli, wszystkie moje uczucia, tak bezładne, skomplikowane i zmęczone, cała moja namiętność życia i miłości. Nikt nie wie i nie będzie wiedział, co się w tym domu działo, bo działo się raczej tylko wewnątrz mnie.

Kochany domu, sosno północna! Przeznaczeni jesteśmy dla siebie, to słońce tutejsze, to piękno tutejsze to nie dla nas. „Nie dla nas winnic płowych stok...”

¹ Por. Robert Papiński, *Powrót do Ravello*, Austeria, Kraków 2019, s. 22.

² Konstant Ildefons Gałczyński, *Poemat dla zdrajcy*, „Nowa Kultura” 1952, nr 3.

– przypomina mi się mój wiersz Toniowi poświęcony. I wiersze inne mi się przypominają, i przyjaźnie, i miłości, i męki, jakie w tym domu wycierpiałem, i smutki, i strachy. Całe, całe, długie życie¹...

Wiersz poświęcony „Toniowi” to utwór opublikowany w roku 1929 w tomie *Księga dnia i księga nocy* i dedykowany Antoniemu Sobańskiemu, budujący wyrazistą opozycję między szczęśliwym losem mieszkańców zachodu, a przede wszystkim południa Europy, a bolesnym polskim przeznaczeniem, które z każdej podróży każe wynieść refleksję: „Nie dla nas winnic modry stok / I winnic wdzięk, i winnic sok, / A dla nas pylny owsa łan / I karczmarz Żyd, i wódki dzban”. Nie nam jest także pisany „mądrych rozmów gwar”, pozostają jedynie „zawiść, kłótnie, srom, / Rozgrzany szynk i zimny dom” (*.* [Nie dla nas winnic...], W1, 240). Wiele lat później, raz jeszcze zastanawiając się nad powodami, które sprawiły, że Iwaszkiewicz tak dobrze odnalazł się w realiach Polski powojennej, Miłosz przywołał ten właśnie utwór, dochodząc do wniosku, że jego autor „w swoim patriotyzmie był [...] sentymentalny i swojskość przeciwstawiona Zachodowi jest stałym ingredientem jego twórczości”, przy czym owa swojskość oznacza także „poczucie skazania kraju na nieszczęście i podrzędność, miłość do niego właśnie dlatego, że jest tak nieszczęsny i podrzędny”, po wojnie zaś przekształca się „w przywiązanie do Polski Ludowej: jaka jest, taka jest, choć w niewoli”². Dodać tu możemy, że rewersem tej trudnej miłości jest fascynacja spełnieniem, siłą, każąca Iwaszkiewiczowi dopatrywać się wielkości w osobie... Bolesława Bieruta³ czy w późniejszych pierwszych sekretarzach KC PZPR. A także, iż poeta marzył również o ojczyźnie przemienionej, czego bodaj najbardziej wyrazistym przykładem jest utwór *Wigilia nowej Polski* zamykający pierwsze wydanie tomu *Powrót do Europy*, później zaś przez autora skazany na zapomnienie. W charakterystyczny dla siebie sposób łącząc wątki chrześcijańskie i pogańskie, Iwaszkiewicz zapowiada tu odrodzenie nadwiślańskiego kraju, które wyznaczy pokojowa, ale jednak Siła, oraz mądra Radość istnienia, gdy na jego mieszkańców – niczym na uczniów Chrystusa w wieczerniku – spłynie płomień ducha, „ogień, który nas przepali”⁴. Niewykluczone zresztą, że patetyczne strofy tego utworu były jedną

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 376. Ciekawie i ładnie passus ten komentuje Robert Papiński: „dziwne wrażenie robią te słowa, czytane w Stawisku. Odrywam wzrok od pożółkłych stronik rękopisu, spoglądam w małe okienko i widzę poruszone zimnym wiatrem wierzchołki sosen. Jeśli rozumieć tęsknotę jako ciągle żądanie, dręczącą pustkę, która domaga się wypełnienia, o której można na chwilę zapomnieć, ale której niepodobna przewyciężyć siłą woli, to trudno doszukać się w cytowanych zdaniach tęsknoty. To raczej nieco leniwe, zaprawione słodką melancholią, snute z bezpiecznego oddalenia marzenie estety. Tyle że ten marzycielski nastrój burzy słowo «przeznaczenie». Świadomość powołania do bólu, najsilniej dochodząca do głosu w bezpiecznym zaciszu. Zastanawia to spoufalenie ze złym losem kogoś, kto był w najlepszej komitywie ze szczęściem. Jakby w jednej piersi były dwa serca. I nie sposób rozstrzygnąć, które uderza mocniej i celniej. Raz górę bierze człowiek ze swoim prawem do szczęścia, prawem do widzenia wiosną wiosny, a innym znowu razem przewagę zyskuje Polak ze swoim niezrozumiałym poczuciem obowiązku, z irracjonalnym dochowywaniem wierności ziemi” – Robert Papiński, *Powrót...*, dz. cyt., s. 23.

² Czesław Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Znak, Kraków 2007, s. 153.

³ Por. np. J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, dz. cyt., s. 132.

⁴ Wiersz ten częściowo cytuje oraz obszernie omawia J. Kwiatkowski w książce *Poezja Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa 1975, s. 307–317. Zwraca na niego uwagę także Piotr Mitzner w swej książce *Na progu*.

z przyczyn, dla których Miłosz – jak pamiętamy – ironizował, że lepiej by było, gdyby ich autor „nie wracał do Europy” ...

Wskażmy jeszcze jeden szczegół. Zarówno oba cytowane przed chwilą wiersze z lat pięćdziesiątych minionego stulecia, w których codzienna strawa jest „zmieszana z popiołem” (*.*[Nie zapomina się...], W2, 150), poeta zaś, obywatel ludowej ojczyzny, budzi się na „pryczy” (*Do NN*), jak i utwór wcześniejszy o ponad dwie dekady, gdzie pojawia się „czarny rok, i czarny chleb” (*.*[Nie dla nas winnic...]), zdają się odzwierciedlać także te myśli Iwaszkiewicza, które nie zostały dopuszczone do głównego nurtu wypowiedzi, myśli skrywane – może i przed samym sobą. Odczucia, zgodnie z którymi opowiadanie się po stronie polskości jest tyleż wyborem, co przymusem, uwięzieniem. Najczęściej przy tym jest to polskość nie „przemieniona”, lecz tradycyjnie tragiczna, wywodząca się z historii klęsk, żyjąc nad Wisłą nie sposób wszak – jak czytaliśmy przed chwilą – „odwrócić wzroku od mogił i krzyżów”. Te słowa w 1951 roku kojarzyły się z koszmarem II wojny, wizja poety sięgała jednak dalej. Już w roku 1938, zapisując słowa *Pożegnania Sycylii* i napięcie podobne do tego, które przekonywało, że „nie dla nas winnic modry stok”, w finale utworu Iwaszkiewicz nawoływał: „Nie wolno ci nie pamiętać! Od cierpień się nie wykręcisz. / I musisz zimny ssać wiew, na który skazał cię Bóg. / Na północ więc kieruj się teraz, na północ, na północ, / Do kraju mogił i chmur, do kraju krzyżów i chmur” (W1, 418). Wpisywał się w ten sposób w pewną tradycję, choć od bliskiej „trzeciemu wieszczowi” katolickiej ortodoksji był daleki, to nawiązywał do wcześniejszych o stulecie słów Krasińskiego: „idź na północ w imieniu Chrystusa – idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów – poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci – po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych chatach wygnańców – poznasz ją po jękach aniołów moich, przelatujących w nocy”¹. Podtrzymywał zatem w swej poezji romantyczny mit Polski umęczonej i zarazem uwznioślonej, skądinąd przy tym w praktyce życiowej – również podobnie jak Krasiński – bardzo chętnie z Polski tej wyjeżdżając.

A w dodatku przecież ta Polska, w której przyszło mu spędzić większość życia, warszawska i mazowiecka, nie była prawdziwą ojczyzną jego serca, nią pozostała Ukraina czy po części Rosja, nieskończona przestrzeń, w której można było głęboko zaczerpnąć tchu i poczuć się bliżej Boga. „Oddechem stepowym, wschodnim wyhołubiony Ukrainiec”² – nazywał go jeden z krytyków pod koniec lat trzydziestych, on sam w *Księdze dnia i księdze nocy* wyrzekał się italskich cyprysów, ale zarazem przyznawał: „jakże mnie ta Warszawa nuży”, tęsknił „za błękitną dalą / I za stepem równym i bezdrzewnym”, czuł, że mu „brak dalekiego wiatru” (*.*[Coraz rzadziej chodzę...], W1, 208) ... W dziennikowym zapisie z 1968 roku pisarską autoanalizę łączył z szerszą diagnozą: „życie nasze – nawet religijne – było zawsze powierzchowne i nerwowe, stąd trzeba było Matkę

¹ Zygmunt Krasiński, *Irydion* [w:] tenże, *Wiersze. Poematy. Dramaty*, oprac. Marian Bizan, PIW, Warszawa 1980, 527 i nast.

² Karol Wiktor Zawodziński, *Liryka Iwaszkiewicza wczoraj, dziś i jutro*, „Glossy” 1939, z. 3, cyt. za: Piotr Mitzner, *Na progu*, dz. cyt., s. 75.

Joannę umieścić pod Smoleńskiem, bo pod Częstochową nic by z tej fabuły nie wyszło”. Właściwie mógłby wręcz – jakkolwiek wpasowując te słowa w inny od oryginalnego historyczno-polityczny kontekst – powtórzyć za Zbigniewem Herbertem: „Rów w którym płynie mętna rzeka / nazywam Wisłą. Ciężko wyznaczyć: / na taką miłość nas skazali / taką przebodli nas ojczyzną”¹.

Niezadomowienie w polskości wyjątkowo mocno odczuwał Miłosz, i to już od lat wczesnych, kiedy właśnie w listach do Iwaszkiewicza zżymał się na próbując ukryć niskie poczucie własnej wartości lechickie snobizmy i z Paryża donosił: „moja «polskość», i tak nie stuprocentowa, opadła za granicą o kilkadziesiąt procent” (Krasnogruda, 12 września 1931). Poznając zaś bliżej środowisko warszawskie, stylizował się na Rosjanina, czy w każdym razie przybysza ze Wschodu, prowokacyjnie stwierdzając, że w stolicy czuje „na każdym kroku swoją wyższość, może nie intelektualną, ale na pewno rasową” (Warszawa, 14 marca 1934). Znacznie później zresztą, już z perspektywy innego kontynentu oceni: „moje lata emigracyjne datują się chyba od 1937 roku, kiedy opuściłem Wilno, przy czym oswojenie się z Warszawą niekoniecznie było łatwiejsze niż oswojenie się z Francją i Ameryką”². W przeciwieństwie jednak do Iwaszkiewicza nigdy nie uważał, by to, co jest polskim nieszczęściem³, paradoksalnie miało krainę naszą wywyższać, nadawać jej szczególną godność cierpienia. Trzeźwy obserwator, w połowie lat trzydziestych XX wieku widział „zaropiałe chałupy, miasteczka jakby przez nie przeszło Verdun” (Wilno, 13 stycznia 1937), „biedę i plugastwo”, „głód prawie na wsi, bzdury mocarstwowe prasy”, „intrygi prowincjonalnych kacyków” (Krasnogruda, 13 września 1935), a za tym wszystkim szerszy, emanujący beznadzieją krajobraz, czyli „to polskie życie: potworność militarnego reżimu, a druga strona barykady pozbawiona jakichkolwiek pierwiastków ludzkich, głupota młodzieży, doprowadzająca do śmiechu i płaczu” (Wilno, 7 grudnia 1935). W tych konstatacjach nie odkrywał powodów do szczególnego umiłowania Polski, przeciwnie – zarówno nieprawości lat trzydziestych XX wieku, jak i straszna hekatomba powstania warszawskiego czy antysemitki i antyinteligentki zryw roku 1968 budowały w nim dystans i potrzebę krytyki, której apogeum przypada bodaj na schyłek lat sześćdziesiątych XX wieku, kiedy to choćby w liście do Józefa Czapskiego jednoznacznie deklarował swe oddzielenie od „skołowanego narodu”⁴.

Wróćmy do Iwaszkiewicza, który od obolałej narodowej wspólnoty oddzielić się nie chciał lub nie potrafił i który podczas dwukrotnie już przywołanej podróży z roku 1951, w Rzymie, ciepłą listopadową nocą, jakże inną od polskiej nocy jesiennej, wdał się w rozmowę z Konstantym Jeleńskim. Emigracyjny krytyk i esejista, człowiek daleki od typowo polskich zawężeń, sprowokował autora *Sławy*

¹ Zbigniew Herbert, *Prolog* [w:] tenże, *Wiersze zebrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2008, s. 317.

² Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, Znak, Kraków 2006, s. 161.

³ Nawet jeśli stanowi dla pisarza zobowiązanie, przyznawał wszak: „w Krasnohrodzie czy Mejnagole zawsze czuję się odpowiedzialny i winny jako ten pasożyt, stypendysta czy inny lekko sobie chodzący *artist*” (Paryż, 18 lutego 1935).

⁴ List Czesława Miłosza do Józefa Czapskiego, Berkeley, 10 grudnia 1968 – Archiwum Józefa i Marii Czapskich z Maisons-Laffitte w Muzeum Narodowym w Krakowie.

i chwały do stwierdzenia, że jest szczęśliwy z powodu pozostania nad Wisłą, nieudania się na emigrację. Następne zdania tak brzmią w zapisie Iwaszkiewicza: „on jest tym zdziwiony i pyta się: «Więc dla ciebie jest ważniejsze to, że jesteś Polakiem, niż to, że jesteś pisarzem?»». Nikt mnie jeszcze tak nie zapytał – sam sobie nie zadawałem takiego pytania – ale odpowiadam bez wahania: «Oczywiście, że ważniejsze!»¹. Nie wiedział zresztą przy tym poeta, że młodszy o blisko trzydzieści lat Kot z rozmowy tej wysnuje ocenę, przekazaną wkrótce Jerzemu Giedroycowi: „to nieszczęśliwy, zgorzkniały człowiek, skończony jako pisarz i zdający sobie z tego sprawę”². Czy opinia Jeleńskiego wzięła się właśnie z faktu przedkładania przez Iwaszkiewicza przynależności narodowej nad powołanie artysty, które było dlań tak ważne w latach młodości? I czy, to jeszcze trudniejsze pytanie, w swej deklaracji mógł być poeta całkowicie szczery?

Zabrzmiało to banalnie, ale wydaje się, że powodowały nim motywacje bardzo złożone. Charakterystyczne jest, że cytując pod niebem Neapolu wiersz Heinego (później zaś odwołując się do tegoż wiersza w utworze poświęconym Miłoszowi), Iwaszkiewicz myli się, w pejzażu północy, który określa jego życie, umieszcza nie – jak w oryginale – świerk, lecz sosnę³. To dendrologiczne spostrzeżenie można uznać za jałową pedanterię, przestaje nią być jednak, gdy przypomnimy sobie, jak ważną rolę w imaginarium poety odgrywała właśnie sosna, w jednym z wierszy powstałych w latach pięćdziesiątych wyznaczająca wręcz oś jego świata. I w tym utworze trwają „jesienne rozmowy”, a z banalnych kwestii, które wymieniają między sobą przedstawiciele „obozu postępu”, czyli delegaci na wiedeński Kongres Narodów w Obronie Pokoju, wybija się finałowa strofa: „Mówiłem także: «Wracam do siebie.» / «Czy to daleko, czy blisko?» / «Pośrodku świata sosna na niebie / I dom pod sosną: Stawisko»” (* * [Jesiennych rozmów ręka w ręce...], W2, 241). Ta sosna to oczywiście Urania, do której trzydzieści lat później zwróci się Iwaszkiewicz w swym ostatnim wierszu, dedykując go zresztą Konstantemu Jeleńskiemu⁴. I która zdawała się czekać na pisarza w listopadzie 1951 roku, gdy zapisując cytowany przed chwilą piękny fragment *Dzienników tęsknił... do Polski i jej mitu kodyfikowanego także poprzez Noc listopadową* Wyspiańskiego? Czy raczej do samego siebie, do własnej młodości, do lat minionego życia, które już wtedy wydawało mu się prawie wygasłe? O domu na Stawisku, skarbcu najbardziej osobistej, zgoła nie narodowej pamięci strzeżonym przez strzelistą sosnę, pisał wszak – przywołajmy raz jeszcze te słowa – że w miejscu tym „tai się i chowa wszystko, co przeżyłem przez tak długie lata, wszystko, co przeżyłem przez całe życie. Wszystkie moje książki, wszystkie moje myśli, wszystkie moje uczucia, tak bezładne, skomplikowane i zmęczone,

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 324. Na symboliczne znaczenie tej rozmowy zwraca też uwagę Robert Papiński w *Powrocie do Ravello*.

² List Konstantego A. Jeleńskiego do Jerzego Giedroycia, Rzym, 29 listopada 1951 [w:] Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, oprac. Wojciech Karpiński, Czytelnik, Warszawa 1995, s. 84.

³ Por. Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 384.

⁴ Sprawę tej dedykacji dokładnie omawia biograf poety – por. Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, t. 2, Warszawa 2017, s. 634.

cała moja namiętność życia i miłości”¹. Był więc wybór Polski przede wszystkim wyborem wierności samemu sobie, duchom, które przychodziły doń najchętniej zaraz po Wszystkich Świętych, w listopadową bezgwiezdną noc, gdy od wichru drżały szyby domiszcza ukrytego wśród sosen?

„Pocałunek pokoju”

I czy po części także próbą powrotu do samego siebie, do własnego wcześniejszego, kto wie, czy nie szczęśliwszego wcielenia, nie była ta chwila z 1960 roku, kiedy to na krótko przed kolejną emigracją – tym razem do Kalifornii – Miłosz odwiedził Heidelberg, a na pocztówce wysłanej wtedy z serca Europy do Iwaszkiewicza napisał dwa wersy z jego dawnego wiersza, jeszcze jednego utworu z *Księgi dnia i księgi nocy*: „Same te góry romantyczne / już wiersze niecą”, opatrując je najprostsza formułą: „serdeczne pozdrowienia, Czesław” (Heidelberg, 23 czerwca 1960). Pozdrowienia nie były do końca konwencjonalne, jeśli wziąć pod uwagę to, że wcześniejsze spotkanie obu poetów, mające miejsce w Paryżu w listopadzie 1959 roku, było ciągiem obopólnych niezrozumień i obolałości, które Iwaszkiewicz podsumowywał z charakterystycznego dlań osobistego punktu widzenia, osądzając, że przez kilka emigracyjnych lat Miłosz „z chłopca i mężczyzny bardzo miłego zmienił się w istotę antypatyczną”: „Cała istota jego tchnie jakąś pychą i fałszem, niesłuchanie niemiłym. Piękne niegdyś jego oczy, w które patrzyłem przenikliwie, cały czas unikały mojego wzroku w sposób nader nieprzyjemny”².

Poezja zdołała unieważnić obcość i choć wspomniana już lektura *Rodzinnej Europy* będzie dla Iwaszkiewicza przykrym rozczarowaniem, a w *Dzienniku* oskarży jej autora o pychę³, to z kolejnych listów przebija daleka już od młdzieńczej naiwności, ale jednak odnaleziona bliskość, owa pięknie nazwana przez Oskara Miłosza „stara miłość, zużyta przez samotność, litość i gniew”⁴. Na pocztówkę odpowiedział więc Iwaszkiewicz listem szczerym i intymnym: „w zupełnej samotności [...] myślałem: kogo bym chciał nagle ujrzeć wchodzącego do mojej celi. Oczywiście na pierwszym miejscu Jurka Bleszyńskiego, ale zmarł w zeszłym roku, potem Bolka Micińskiego, ale ten umarł dawno – a potem pomyślałem sobie: z żyjących chciałbym, aby wszedł Cześ, ale on też, cholera, nie wejdzie”. Dodawał jeszcze: „odeszliśmy już tak daleko od siebie, że może nawet nigdy nie będziemy się mogli porozumieć. Ale bardzo Cię kochałem jako przyjaciela” (Sandomierz, 21 września 1960). Równie piękną tonację dosłyszemy w późniejszym o pięć lat liście Miłosza: „Kochany Jarosławie, parę dni temu, spojrzawszy na leżący między papierami Twój list, przeżyłem coś dziwnego: ten charakter pisma raptem przywrócił mnie temu wszystkiemu, czym kiedyś byłeś dla mnie jako autor *Dionizji* i *Kasyd*” (Berkeley, 25 stycznia 1965). A także w kolejnej odpowiedzi Iwaszkiewicza, która mogłaby stać się mottem tego szkicu:

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 376.

² Tenże, *Dzienniki 1956–1963*, dz. cyt., s. 338.

³ Por. tamże, s. 422.

⁴ Oskar Miłosz, *Pustkowia* [w:] Czesław Miłosz, *Przekłady poetyckie wszystkie*, red. Magda Heydel, Znak, Kraków 2015, s. 450.

„bardzo sobie cenię to, że nad wszelkie pęknięcia i przepaście można przeciągnąć wątłą pajęczynkę ludzkiego rozumienia i porozumienia” (Stawisko, [1965]).

Jeszcze jedno spotkanie paryskie, z marca roku 1967, odezwie się echem w wierszu *Muzyka nocą*, powstałym podczas o rok późniejszej, kolejnej listopadowej i rzymskiej podróży. Bolesność przemijania i okrucieństwo świata zdają się tu równoważone pięknem natury i sztuki, a przede wszystkim chwilą zawieszenia czasu, kiedy do dawnego przyjaciela powiedzieć można: „wspaniałe jest / nasze wielkie roz pogodzenie”, poprosić go: „daj rękę / pocałujemy się / pocałunkiem pokoju // Cóż innego nam pozostaje?” (W2, 415). A przynajmniej tak właśnie, jako skierowany do siebie, odczyta ten wiersz Miłosz, gdy kilka lat później ekspediować będzie do Polski oprawny w zielone płótno tom swych *Utworów poetyckich* z dedykacją „na «nasze wielkie wypogodzenie»”.

W listach coraz częściej do głosu dochodziła też starość. Autor *Ziemi Ulro* zastanawiał się nad podwójnością naszego istnienia, bo wszak „pokurczone, zdeformowane, zwiędłe ciała są jakoś obce istocie” ludzi starych, z których bodaj każdy wewnętrznie czuje siebie „jako naprawdę młodego czy nawet dziecko” (Berkeley, 9 lutego 1979). Pisząc te słowa, pamiętał może, jak Ola Watowa, wdowa po Aleksandrze, który niegdyś wraz z Iwaszkiewiczem stał obok Bolesława Bieruta na trybunie kongresu zjednoczeniowego PPS i PPR, potem zaś powiększył grono emigrantów objętych w PRL zapisem cenzorskim, tak więc jak Ola Watowa w 1972 roku relacjonowała mu spotkanie z autorem *Dionizji*, który szedł ku niej: „z wyciągniętymi rękoma, jakiś nagle wstrząśnięty i wzruszony opadłymi go, zapewne, wspomnieniami przeszłości, potykając się na swych chorych, obolałych nogach. Jego wielkie ciało – kiedyś atletycznej budowy – osiadło, rozděło się. Głowa, której rysy i wyraz twarzy zostały prawie wierne młodości – otoczona wianuszkiem siwych włosów, a głos – dawniej tak śpiewny, stepowy, rozległy [...] – teraz jest jakiś «ciamkający», bezzębny. Straszliwa, rozkładająca robota czasu”¹.

Sam Iwaszkiewicz zapisywał wtedy nieco dziwny, jakby tracący głos wiersz-pożegnanie, tren mówiący o odchodzeniu w pustkę dawnych wzruszeń, o tym, że mieszkający w Londynie lub kalifornijskim Berkeley „puszczyk żywych” nie chce już niczego pamiętać: „ani tego tanga z Wandą / ani czereśni tak obfitych / i że byłeś dla nas dobry”. Tango z Wandą Telakowską tańczył na Stawisku w ostatnią przedwojenną niedzielę Antoni Sobański, a ich brawurowym popisom przyglądał się oczywiście Czesław Miłosz². Z duchami umarłych i z tymi, którzy są już jakby umarli, rozmawia zaś w wierszu człowiek, który też nie chce pamiętać, odrzuca nawoływanie „puszczyka umarłych” powtarzającego mu monotonnie: „pamiętam jak strasznie kochałeś” (* * [Co puszczyki robią w dzień?], W2, 507). Zmarłych przy tym jest coraz więcej, jak osądzi to Iwaszkiewicz w kolejnym liście: „ten wyścig ku nicości bardzo smutny” (Stawisko, 12 marca 1978) ...

Zapomnieć próbuje także bohater wiersza *Stary poeta*, jednego z najwspanialszych utworów polskiej poezji XX wieku. Bohater, a raczej po prostu sam

¹ List Oli Watowej do Czesława Miłosza, Paryż, 9 listopada 1972 [w:] Czesław Miłosz, Ola Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze (I)*, oprac. Barbara Toruńczyk, Zeszyty Literackie, Warszawa 2009, s. 82.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Portrety na marginesach*, dz. cyt., s. 94.

Iwaszkiewicz, który zwraca się tu do żony z długim, stonowanym, a przecież rozdzierającym, wręcz dławiącym nasze gardła monologiem. Wie dobrze, że wystarczy, by przymknął oczy, a zaleje go przeszłość i wtedy raz jeszcze „Czesław zaraz przyjdzie / taki młodziutki jak wtedy / kiedy przyjechał z Wilna / ze słowami: ubóstwiam pana / na ustach”. Mówi o ludzkiej niemożności zrozumienia świata, odczytania jego sensu, o niepojętym dla nas języku gwiazd, drzew i kwiatów. O długim wspólnym życiu, o wszystkich zapamiętanych chwilach, o przyjacielach, o zobaczonych miejscach i przeczytanych książkach, o emocjach i myślach, z których nie pozostanie nic. Śmierć bowiem nie jest furtką, lecz ostatecznym kresem. Już wkrótce:

Będziemy we wszechświecie
jak te dwie martwe muchy
jak te dwa zdechłe psy
jak dwie nicoście
One też kochały
i chciały zrozumieć.

(*Stary poeta*, W2, 565)

Święty Kasjan raz jeszcze

Anna Iwaszkiewicz zmarła tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1979 roku. Trzy tygodnie później Jarosław wyruszył w podróż do Francji, przeczuwając, że może to być podróż w jego życiu ostatnia. Nim pożegnał Stawisko, któregoś dnia podczas spaceru, tuż przed domem – jak zapamiętała Julia Hartwig – „objął drzewo oburącz i przywarł do niego twarzą”¹. Wszystko, w czym miał następnie uczestniczyć, było tak naprawdę wielkim pożegnaniem, które zapisuje jeszcze jeden poruszający w swej prostocie wiersz:

Dobranoc kwiatki niebieskie, dobranoc zorzo różowa,
dobranoc ptaszki za oknem, dobranoc różo kwitnąca,
dobranoc ciszo wieczorna, w której ton jeden się chowa,
dobranoc ciało gorące, dobranoc duszo stygnąca.

Żegnajcie sen i kochanie, żegnaj obłoku biały,
Żegnaj nocne cierpienie, dobranoc rzeźwy poranku,
Dobranoc piesku kochany, dobranoc świecie cały,
Dobranoc topolo wysoka – i Ty, stojąca na ganku.

(*Ostatnia piosenka wędrownego czeladnika*, z tomu *Muzyka wieczorem*, 1980)

W Paryżu spotkał się z Józefem Czapskim, niegdyś, przed tak wielu już laty fascynującym go pięknym „Józkiem”. Jedną z ich rozmów wspominał Konstanty Jeleński jako – kolejny raz posłużmy się tą frazą – „wielkie roz pogodzenie”, jako

¹ Ryszard Przybylski, *Cierpienia osobności* [w:] tenże, *Mityczna przestrzeń naszych uczuć*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2002, s. 94.

– to już słowa Jeleńskiego – „zbliżenie i porozumienie, tak jak czasem u Dostojewskiego, gdzie jakiś wiatr nagły zmiata śmiecie i kurze nagromadzone między ludźmi”¹. Może tym razem intuicja Kota zawiodła, Iwaszkiewicz bowiem notował w *Dziennikach*:

Józio Czapski zawsze jak i dawniej taki pewny swej doskonałości, byłby z niego świetny papież – niestety poszedł inną drogą i ta jego pewność, że jest bezgrzeszny, a więc wyższy ponad nas wszystkich, jest czymś bardzo rzucającym się w oczy i raczej przykrym. Taki św. Kasjan. Zabawne, bo pamięta nasz spór o stokrotkę i mówił o tym, jak klóciliśmy się u Woronieckich, a ileż to lat minęło! Sześćdziesiąt! Kot zajęty swoimi sprawami i raczej nie orientuje się w moich sprawach ani zajęciach – i to go nie interesuje, jeżeli go coś we mnie interesuje, to moja twórczość, którą przesadnie się zachwyca. Dobrze i to. Józio jeszcze wrócił do *Petersburga* i mówił, że tylko Polak mógł coś takiego napisać, ale bardzo pochlebnie się o tym wyrażał, cieszę się, bo on zna materię i wie, z czego to jest zrobione. Mają mi przysłać książkę Maryni o tej ich ucieczce do Petersburga z Antkiem Marylskim. Ciekawy jestem, ale to też sprawy dawno minione – tyle jest rzeczy nowych².

Tkanina zapisu jest gęsta. Raz jeszcze, niczym w *Młynie nad Utratą*, czytamy o niechęci wobec tych, którzy emanują pewnością wiary, którzy nie chcą – jak św. Kasjan z prawosławnej legendy – pobrudzić szat błotem doczesnych wahań, kłopotów i zatrudnień. Na mały osobny szkic zasługuje to, że właśnie za pomocą legendy o św. Kasjanie Dymitr Mereżkowski wyzwał niegdyś Czapskiego z naiwnego, tołstojowskiego pacyfizmu, kiedy to młody hrabia w kipiącym rewolucją Piotrogradzie razem z Antonim Marylskim zakładał falanster chrześcijan rojących o przemianie, przemodleniu świata. I że postawę św. Kasjana zarzucał następnie Iwaszkiewicz Miłoszowi, gdy ten w 1951 roku odłączył się od pochodu polskich literatów maszerujących wspólnie przez błoto komunistycznej historii. Stokrotka przywołuje chwilę z roku 1919, kiedy to dandys Iwaszkiewicz był gwałtownie krytykowany przez poważnego i prostolinijnego, głęboko religijnego Czapskiego³. Znamienne jest rozczarowanie, że Jeleński interesuje się dziełem, nie zaś człowiekiem, bolesna wreszcie staje się fraza „tyle jest rzeczy nowych”, gdy wiemy, że w *Dziennikach* Iwaszkiewicza, który towarzyszył mu od lat wczesnej młodości, jest to zdanie ostatnie.

Gdy czytamy z kolei *Dzienniki* Czapskiego, zdajemy sobie sprawę, że malarz nie czuł zgoła tej niezachwianej pewności wiary ani tym bardziej bezgrzeszności, które widział u niego Iwaszkiewicz. A jednak pewna gwałtowność emocjonalna i bezpośredniość wypowiedzi mogły autora *Oktostychów* u „Józia” niepokoić, zresztą różnicę między nimi widać już choćby w tym, że to autor *Na nieludzkiej*

¹ Konstanty A. Jeleński, *Zbiegi okoliczności*, oprac. Wojciech Karpiński, Instytut Literacki Kultura – Instytut Książki, Paryż–Kraków 2018, s. 137.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, dz. cyt., s. 622.

³ Por. Jarosław Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Czytelnik, Warszawa 1975, s. 182 i nast.

ziemi zaproponował, by zmęczonego i pogrążonego w smutku pisarza wysłać ze stolicy Francji do miasteczka Saily, gdzie hotelik prowadziła krewna Czapskiego. Osoby, które miały okazję w nim bywać, wspominają go jako przygnębiający, pustawy przybytek. Malarz, który spędził tam niejedne wakacje, motorowerem przemierzając okoliczne drogi w poszukiwaniu plenerów, najwyraźniej w ogóle tego nie zauważał, zresztą jego cela w Maisons-Laffitte uczyła dystansu do wszelkich doczesnych wygod. Iwaszkiewicz natomiast odpychającą aurę hotelu Au Sel Fin dostrzegł natychmiast, gdy tylko na obolałych nogach musiał po raz pierwszy wspiąć się wąską klatką schodową. Zapisywał: „Saily jest tak nieprawdopodobną dziurą, że tylko we Francji takie można odkryć”¹, czuł się opuszczony, zapomniany. Śnił o podróży innej, o odchodzeniu w śmierć, o drodze, w której towarzyszyć mu miała zmarła żona:

we śnie pejzaże, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Przedwczoraj płynąłem jakąś osobliwą łodzią, którą prowadził [Józef] Jesionek, ogromną, wspinałą, szeroką rzeką, jakiej nigdy w życiu nie widziałem. Trzymał mnie pod rękę Wiesio [...] i przykrywał nogi moim czarnym futrem. Potem wpłynęliśmy do zatoczki, przesmyku obok stojącej w wodzie ruiny świątyni podobnej do Porta Nigra w Trewirze. [...] Dzisiaj śniła mi się jakaś dziwna podróż z Hanią jakimś osobliwym wehikułem. I co chwila odsłaniały [się] przepiękne widoki na góry, w zarysach były to Tatry, ale daleko większe i całe przykryte śniegiem. A potem był jeden widok na rzekę czy zatokę tak piękny, że aż dech zapierało w piersi. Zbudziłem się i miałem bicie serca².

1 lutego 1980 roku minęło pięćdziesiąt osiem lat od poznania się Anny Lilpop i Jarosława Iwaszkiewicza, o czym pisarz pamiętał, podkreślając tę datę w *Dziennikach*. Dzień później, równo na miesiąc przed śmiercią, Iwaszkiewicz zapisał swój wiersz ostatni – *Uranie*.

Wieczne odpoczywanie

Mówi ten wiersz o przekroczeniu śmierci, choć w sposób nie mający nic wspólnego z religijną nadzieją, jaką mógł żywić choćby Czapski. Jest tu Iwaszkiewicz wierny swym najgłębszym przeczuciom odkrywającym przed nim, że jedyną formą przetrwania jest powrót do tego, co komentator *Uranii*, Ryszard Przybylski, nazywał „Wielką Całością”, łączącą w sobie Byt i Nicość³. Przekonaniom, które odnajdziemy już choćby w młodzieńczej *Piosence dla zmarłej* – jej bohater, stojąc nad grobem bliskiej mu kobiety, czując zarówno nieprzeniknioność całego istnienia, jak i jego sakralność, mając świadomość momentalności także własnego życia, czekając na złożenie do grobowego dołu będące początkiem rozkładu, przekraczając wreszcie podział między chrześcijaństwem i pogaństwem, wypowiadał, wyśpiewywał: „Zapomnieni dawno / Wyrośnięm kwiatami. /

¹ Tenże, *Dzienniki 1964–1980*, dz. cyt., s. 617.

² Tamże, s. 620.

³ Por. Ryszard Przybylski, dz. cyt., s. 107.

Bowiem Dionizos / Modli się za nami” (W1, 416). Albo w *Brzezynie*, w której obrzęd miłości odbywa się nieledwie na kopczyku mogiły, a z ziemi, w której złożono ciało, wystrzeliwują ku niebu białe świece brzoź. W tym zaklęciu z tomu *Inne życie*: „Bo, przysięgam, i uwierz patrząc w moje oczy. / Niech się w nich wieczna prawda jak scena odsłania: / Nie ma, nie ma, ach, nie ma – zima serce mroczy, / I śnieg całunem wieje – nie ma zmartwychwstania” (*Zima*, W1, 383). Czy w późnym opowiadaniu *Serenité*, w którym śmierć jawi się jako upragnione odejście, zaśnięcie, jakby imaginacją pisarza rządziła najdosłowniej pojęta fraza modlitwy, prośba o wieczne odpoczywanie.

Jego modlitwę ostatnią, zwróconą do drzewa rosnącego na Stawisku, inkrustrują symbole nieśmiertelności i zmartwychwstania: obdarzona potężną mocą jemiola¹, pszczoły, które – jak objaśnia Władysław Kopaliński – „znikały na czas zimy i wydawało się, że zmarły, a na wiosnę pojawiały się na nowo”, co odnosiło do „Demeter i Persefony, a później do Chrystusa”², gałęzie wiecznie zielonej, odradzającej się sosny, które „zmarłym wrzucano do grobu”, by „wzmocnić odlatującą duszę”³. Jest to jednak – zaryzykujemy uproszczenie – modlitwa panteisty, która unieważnia granicę między człowiekiem nazywającym świat, wnoszącym weń porządek słowa, a obywającą się bez słów przyrodą. Modlitwa człowieka, który w sośnie czuje siostrę, strażniczkę ludzkiego domu, zawartej w nim przeszłości, a jeszcze przy tym – wcielenie antycznej muzy astronomii, bogini nieba i córki Mnemosyne, a więc pamięci. Modlitwa znosząca – tak zwykle dojmującą – opozycję między indywidualnym kresem a wszechogarniającym odradzaniem się. Modlitwa o zatracenie, włączenie w rytm świata, który nie jest prowadzonym przez Apollina korowodem muz, lecz krwawym igrzyskiem ku czci Dionizosa, nietzscheańskim koliskiem wiecznego powrotu, „ciągłym trwaniem Bytu i ciągłym unicestwianiem skończonych pojedynczych form”⁴.

Prawdę mówiąc, każda interpretacja *Urani* pozostawia czytelnika z uczuciem niedosytu. Może dlatego, że język krytyki nie jest w stanie oddać inkantacyjnego piękna, które słyszymy w liniach wiersza. A może dlatego, że intelektualne kategorie nie zawsze pasują do typu umysłowości Iwaszkiewicza, często bardziej pociąganej przez brzmienie frazy, siłę skojarzenia niż precyzję wywodu. Raz jeszcze należałoby tu przyznać rację Miłoszowi, który powracając do młodzieńczego zachwyty nad *Dionizjami* czy *Kasydami*, osądzał w *Roku myśliwego*: „nigdy nie przekonałem się całkowicie do innych poetów Skamandra. Mogli być znacznie bardziej doskonali i nie razić czy nawet śmieszyć różnymi wyskokami o wątpliwym rozumie i smaku. Niemniej źródła wierszy u Jarosława były znacznie

¹ Por. „Wróże w koronach zawitali do tego porównania raczej ze *Złotej gałęzi*, gdzie James George Frazer cytuje słynny fragment z *Historii naturalnej* Pliniusza o kulcie jemioli u Celtów. Jemiola była dla nich znakiem z «tamtej» rzeczywistości, przekazany ludziom żyjącym na tym świecie. Wiecznie zielona, zapowiadała nieśmiertelność. Po ścięciu zmieniała kolor i wówczas jej złoty odcień zaświadczał jej związek z *sacrum*, tym bardziej że często rosła na dębie, drzewie skądinąd świętym nie tylko u Celtów” – Ryszard Przybylski, dz. cyt., s. 103.

² Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1990, s. 340.

³ Tamże, s. 396.

⁴ Ryszard Przybylski, dz. cyt., s. 107.

bardziej tajemnicze i ta tajemniczość czaiła się za słowami, nie w słowach, zwykle za prostych, żeby ją przekazać”.

Powiedzmy więc tylko, że rosnąca dziś na Stawisku Urania, ta Iwaszkiewiczowska, a może tylko dziedziczka jej imienia, w świecie wiecznego powrotu nie jest to przecież kwestia najważniejsza, jest drzewem krzepkim, królującym, o wysmukłym pniu z nielicznymi – użyłby tego słowa Miłosz – kostrubami i bujnej grzywie igrającej z wiatrem. Ale gałęzie ma wykręcone tak jak wyciągnięte, niepewne są ręce idącego ku śmierci starego człowieka. Człowieka proszącego z wielką poetycką siłą:

Uranio, sosno, siostró – tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia swojego ukazujesz niebo
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostró, wzywam ciebie

Jak niegdyś wróże w koronach z jemioly
Abyś wytrwała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły
I serc co tutaj gasną po kryjomu.

Uranio, muzo dnia ostatecznego
Bogini końca, bogini trwałości
Zniszczeń bogini i wszystkiego złego
Stójże na straży domu i nicości.

Weźmij mnie w swoje grzywy, ty szalona
Wyszarp mi ręce co już nie wyrosną
Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.
(*Urania, z tomu Muzyka wieczorem*)

„Przeciwko wierę niweczającej śmierci”

„Ciągle jeszcze staram się przeniknąć sekret uroków dla mnie i wpływu jego poezji. W skrócie nazwałbym to ekstatycznością przemijania” – analizował dalej Miłosz w *Roku myśliwego*, za przykład wiersza ekstatyczność tę ukazującego dając przywołaną już tutaj *Piosenkę dla zmarłej*. Im dalej jednak odchodził od krainy młodości, tym bardziej obca stawała się dla niego Iwaszkiewiczowska myśl o zaśnięciu, zagubieniu wśród innych bytów. Już recenzując opublikowany w 1946 roku zbiór *Wierszy wybranych*, przyznawał: „tak, ta poezja nadal mi się podoba”, diagnozując jednak zarazem przesunięcie się własnych kryteriów, najprościej byłoby domyśleć – spowodowane wojną:

nie reaguję tak bardzo, jak wtedy, na barwę – a wiersze Iwaszkiewicza to morska zieleń i złoto owoców. Słabo reaguję na zapadanie się w przepaść miłości i śmierci, zachwycenie światem i groza świata nie porywają mnie już jako sam

przedmiot literackich utworów. Drzenie liryczne, jak drzenie tafli wody, w której przegląda się Narcyz, nie zawsze zdolne jest przykuć moją uwagę. I nawet to, co tak właściwe poezji Iwaszkiewicza – marzenie o roztopieniu się, zanurzeniu się w ocean (w wody pre-natalne, powiedziałby Freud) budzi mój sceptycyzm jako ślad szczególnej filozofii, którą pożegnałem¹.

Dwie dekady później niepokoił się w liście do Czapskiego – jak sędzę, całkowicie poważnie – że napisane przezeń właśnie *Widzenia nad Zatoką San Francisco* nie dają czytelnikom religijnej czy społecznej nadziei, co obarcza go grzechem, bo przecież „takich książek, bez wiary i nadziei, pisać się nie powinno. [...] nie należy ludzi gorszyć – maluczkich czy nie maluczkich”². Można powiedzieć, że ta maksyma towarzyszyła mu, wzmacniając się nawet, do końca życia. W ostatnich latach już prawie nie widział, odwiedzającym go osobom zlecał czytanie na głos książek, wśród nich poezji Iwaszkiewicza, pytał o odbiór tych wierszy, o bijące z ich linii „zakochanie w śmierci” (*Mistrz mego rzemiosła*, WW 1248). Pytał choćby mnie – wątpię, bym wtedy rozmowie tej sprostał. Dziś myślę, że Miłosz z Iwaszkiewiczowską pokusą walczył tak samo, jak z tonem radykalnej rozpaczki, który mimo wszystko pociągał go w wierszach Tadeusza Różewicza. Zanim zaś rozterki autora *Drugiej przestrzeni* skwitujemy wzruszeniem ramion, spróbujmy przemyśleć, jak zubaża nas dzisiejsza obojętność na sakralny wymiar istnienia, nieledwie zapomnienie tych pytań, na które nigdy nie znajdujemy pewnych odpowiedzi: o nieśmiertelność, o duszę, o nicość. Jak bardzo ta duchowa nieczułość zubaża powstającą dziś literaturę.

Bliski śmierci Miłosz odsuwał od siebie te myśli, które tak często, do samego końca nawiedzały Iwaszkiewicza. W kolejnych poświęconych mu wierszach zwracał się do zmarłego, a nawet strofował go:

Twoja poezja, choćby znakomita,
Zawarła w sobie tak żałobne treści,
Że wielbicielom nie wyjdzie na zdrowie.
Tak jest, niestety. Czyż nie ulegałeś
Słodkim pokusom ulgi w nieistnieniu,
Ucieczki w nicość?

Przedkładał swoje racje, inne od tych sprzed lat siedemdziesięciu: „Teraz myślę, że w dionizyjskiej słodyczy umierania jest coś nieskromnego. // Przemijanie ludzi i rzeczy nie jest jedyną tajemnicą czasu. / Który wzywa, żeby zwyciężyć pokusę naszego poddaństwa” (*Mistrz mego rzemiosła*). Pamiętając utwór *Stary poeta*, przekonywał:

¹ Czesław Miłosz, *Nad książką, czyli cudze chwalicie*, „Odrodzenie” 1948, nr 4, przedruk [w:] tenże, *W cieniu totalitaryzmów. Publicystyka rozproszona z lat 1945–1951 oraz teksty z okresu II wojny światowej*, oprac. Aleksander Fiut, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, s. 471 i nast.

² List Czesława Miłosza do Józefa Czapskiego, Berkeley, b.d. [1969] – Archiwum Józefa i Marii Czapskich z Maisons-Laffitte w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Gdyby nawet prawdą
 Było, że z marzeń naszego gatunku
 Zostanie tylko ogromny śmiech pustki,
 A my jesteśmy oddzielne nicości
 Jak bryłki śluzu na plaży bez granic,
 To i tak chwała należy się mężnym,
 Którzy do końca zakładali protest
 Przeciwno wiarę niweczającej śmierci.

(Wybierając wiersze Jarosława Iwaszkiewicza na wieczór jego poezji, WW 1197)

Jednym z protestujących był oczywiście on sam, poeta, którego moglibyśmy nazwać – w galaktyce określeń przydanych Miłoszowi to bodaj nie jest najczęstsze – poszukiwaczem „podszewki świata”.

Z początku podszewkę tę mogły poznać jedynie anioły, tak przynajmniej wynika z poświęconego im wiersza, w którym czytamy: „Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat, / Ciężka tkanina haftowana w gwiazdy i zwierzęta, / Spacerujecie, oglądając prawdopodobne ściegi” (*O aniołach*, WW 642). Prawdopodobne, ukazujące bowiem prawdziwy sens naszego istnienia, sens, którego wśród codziennych zwątpień i rozpaczy dostrzec nie jesteśmy w stanie. Gdy poeta zbliży się do wieku ostatecznego, do tej granicy, którą przywoływał w korespondencji z Iwaszkiewiczem: „miara ludzkiego życia jest sześćdziesiąt lat, jak powiada psalmista, «a przy siłach osiemdziesiąt»” (Berkeley, 15 lipca 1979), myśleć już będzie o własnej wędrówce na drugą stronę. Wtedy zapisze wiersz o tytule *Sens*, rozpoczynający się od strofy dającej nadzieję: „Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata. / Drugą stronę, za ptakiem, górą i zachodem słońca. / Wzywające odczytania prawdziwe znaczenie. / Co nie zgadzało się, będzie się zgadzało. / Co było niepojęte, będzie pojęte” (WW 1052).

Aby głosy współbrzmiały, przypomnijmy, że także Iwaszkiewiczowi nie była obca nadzieja odnalezienia sensu w godzinie śmierci, że obok pogodzenia z Pustką zapisywał też chwile podobne tej, którą ukazał Lew Tolstoj, autor tłumaczonego przez polskiego poetę opowiadania *Śmierć Iwana Iljicza*, gdzie moment agonii staje się bramą, przejściem, ostatecznym śmierci pożegnaniem. Tak jest choćby w wierszu z tomu *Lato 1932*, w którym człowiek tonący w ogromie świata wypowiada pożegnalne zawołanie: „O ziemio-wodo! Wszystko inne / Wydaje się nierzeczywiste – / przez zielone tafle płynne / Przebłyska światło wiekuiste” (*.* [Woda, zielona i głęboka...], W1, 364). Czy w tyle razy już tu przywoływanym *Młynie nad Utratą*, gdzie umierający, pogrążający się w wodach stawu Karol „poczuł i zrozumiał wszystko to, czego nie rozumiał przez całe życie [...]”. Zastłona świata ustąpiła, rozdarła się, znikła i ujrzał – nie, nawet nie ujrzał – ale dotknął palcami, przez które przelewała się bezbarwna woda, żywej tajemnicy, która przestała już być dla niego tajemnicą. Była tylko słodyczą bez miary i spokojem tak wielkim, o jakim tylko śmierć daje pojęcie”.

Druga strofa Miłoszowego *Sensu* jest negatywem pierwszej. Ten, kto rozmyśla o swojej śmierci, musi bowiem zadać sobie pytanie: „A jeżeli nie ma podszewki

świata? / Jeżeli drozd na gałęzi nie jest wcale znakiem, / Tylko drozdem na gałęzi, jeżeli dzień i noc / Następują po sobie, nie dbając o sens, / I nie ma nic na ziemi, prócz tej ziemi?”. Wtedy – mówi Miłosz, dając w strofie trzeciej świadectwo nie tyle może wiary, ile woli wierzenia – ostatniego sarkastycznego zdania mimo wszystko nie wypowie pustka, nie wyśmieje nas nicość. Pozostanie bowiem po nas „Słowo raz obudzone przez nietrwałe usta, / Które biegnie i biegnie, poseł niestrudzony, / Na międzygwiazdne pola, w kołowrót galaktyk / I protestuje, woła, krzyczy” (*Sens*).

*

Wróćmy na koniec tej opowieści do jej początku. Latem roku 1934 Jarosław Iwaszkiewicz, sekretarz polskiego poselstwa w Kopenhadze, pisząc do żony, dołączył do listu *Pieśń*, nowy wiersz Czesława Miłosza, który zobaczył właśnie w tygodniku „Pion”. Komentował z entuzjazmem, iż utwór ten „należy przeczytać kilka razy”, ponieważ jest „czymś cudownym”¹. Podobną opinię musiał wysłać do autora *Pieśni*, gdyż wkrótce Miłosz dziękował mu za wyrazy uznania, dodając: „jakaś ręka mnie prowadzi, czuję się zupełnie bezwolny, ta sama ręka może albo prowadzić wyżej, albo pewnego dnia strącić” (Kozińce, 7 sierpnia 1934).

Autor *Trzech zim* bodaj przez całe życie niósł w sobie wiarę w Opatrzność, Los, właśnie Rękę, która kieruje jego życiem, wiara ta zresztą pojawiła się już przed naszymi oczami. Trzeba przyznać, że *Pieśń* należy do tych jego wierszy, które i nam dają nadzieję istnienia wyższej rzeczywistości, w niej to bowiem – poprzez tumult spraw osobistych i politycznych – młody poeta musiał dosłyszeć krystaliczne dźwięki tego utworu. Jego bohaterką jest kobieta walcząca ze zwątpieniem, stojąca może w konkretnym miejscu – na pomoście, który spod dworu w Krasnogrudzie wychodzi w spokojną taflę jeziora Hołny. Kobieta zrozpaczona, do której przemawia chór głosów ziemi, doczesnego trwania, ukazujący dostępne naszym zmysłom piękno, by przekonywać: „Radość wszelka jest z ziemi, nie masz prócz ziemi wesela, / człowiek jest dany ziemi, niech ziemi tylko pożąda”. Nie jest to jednak perspektywa wystarczająca bohaterce *Pieśni*, która – zgoła inaczej niż choćby Julcia czy Jola, wspaniałe przecież panny z Wilka – nie chce poprzestać na tym, co cielesne. Radość ciała nie zagłusza narastającego lęku, „zimnego szumu / wysokich, martwych topoli”, które są ziemią może prawdziwą – zobaczoną okiem śmierci. Czy dane jest nam coś więcej? Więcej niż trzepot ryb w sieciach, zapach ciepłych bochenków chleba, czerwone kule jabłek toczące się po stole? Czy jest we mnie cząstka nieśmiertelna, „choć jedno ziarno bez rdzy”, które przetrwa kres życiowego rytmu, biegu kołyski, „nachylanej / na przemian w mrok, na przemian w świt”? Gdyby w to uwierzyć, można byłoby z nadzieją czekać, aż śmierć pozwoli zobaczyć podszewkę świata, czekać chwili, gdy „rzeczywiste nagle się obnaży / i tarczą nowej, nieznanomej twarzy / spojrzy kwiat polny, kamień polny”. Skąd jednak wziąć nadzieję, gdy moje istnienie jest tak kruche, znikliwe, gdy muszę wyznać, że nie znajduję w sobie nic

¹ List Jarosława Iwaszkiewicza do Anny Iwaszkiewiczowej, Kopenhaga, 28 czerwca 1934 [w:] Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Listy 1932–1939*, dz. cyt., s. 442.

„prócz przestachu, / nic oprócz biegu ciemnych fal”. Gdy czuję, że jestem jedynie – wspaniały to obraz – „pyłkiem dmuchawca na czarnych łąkach świata” (*Pieśń*, WW 63).

Niedawno znów czytałem ten wiersz, nie myśląc tym razem o Gabrieli Kunat, której jest on dedykowany, właścicielce dworu w Krasnogrudzie, kuzynce Miłosza, może pierwszej wielkiej miłości dorastającego chłopca. Ani o tym, jak wiele lat po jego powstaniu spożytkował ten wiersz Zbigniew Herbert, odwołał się do niego w swym *Prologu*, zamieniając jednak pytania metafizyczne na moralne i historyczne. Tym razem pomyślałem, że udręczona dusza z *Pieśni* mogłaby trafić do któregoś z opowiadań Iwaszkiewicza, choć tam zapewne wcieliłaby się w męskie ciało. A później przeczytałem odpowiedź Anny na list Jarosława: „wiersz Miłosza jest przedziwnie piękny, niesłychanie pełny, jakiś pełen ciężaru, jak owoce jesienia, niby *serein*, a niepokojący”. W tym zaś, co mówi jego bohaterka „jest dużo rzeczy, które ja mogłabym powiedzieć”¹.

Zamykam ten szkic „wątlą pajęczynką ludzkiego rozumienia i porozumienia”. Przekonaniem, że mimo wszystkich różnic i wrogości niezmiennie łączyło Iwaszkiewicza i Miłosza podobieństwo duchowego tonu. Bo przecież nawet wtedy, gdy stary Miłosz obawiał się, że wiersze jego zmarłego mistrza mogą wtrącać nas w rozpacz, gdy próbował, niczym baron Münchhausen, samego siebie wyciągać z trzęsawiska niepewności, wyznawał, wierny prawdzie dawnego życia:

Słyszemy w twojej melodyjnej frazie
Ton głębinowy, pomimo zwątpienia.
I powracają nam nieraz na usta
Twoje modlitwy do Dionizosa.

(*Wybierając wiersze Jarosława Iwaszkiewicza...*)

Esej jest fragmentem książki Andrzeja Franaszka *Gwiazda Piolun*, którą wkrótce opublikuje Wydawnictwo Znak.

¹ List Anny Iwaszkiewiczowej do Jarosława Iwaszkiewicza, Stawisko, 3 lipca 1934 [w:] Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Listy 1932–1939*, dz. cyt., s. 454.